

PATRIOTYCZNY RUCH POLSKI

NR 250



1 X 2010 R.

NOWY JORK, CHICAGO, TORONTO, BERLIN, WARSZAWA.

PATRIOTYCZNY RUCH POLSKI W INTERNECIE: www.wicipolskie.org lub polpatriot.com

Drodzy Czytelnicy i Sympatycy!

W naszym biuletynie zamieszczamy teksty różnych autorów, tak „z pierwszej ręki” jak i przedruki, traktujące o najistotniejszych problemach Polski i Świata. Kluczem doboru publikowanych treści, nie jest zgodność poglądów Autorów publikacji z poglądami redakcji lecz decyduje imperatyw ważnością tematu. Poglądy prezentowane przez Autorów tekstów, nie zawsze podzielamy. Uznając jednak że wszelka wymiana poglądów i wiedzy, jest pożyteczna dla życia publicznego - prezentujemy nawet kontrowersyjne opinie, pozostawiając naszym czytelnikom

Redakcja

ich

osąd.

Adres kontaktowy Redakcji PRP: PO Box 1602, Cranford NJ 07016 i internetowy: turobin@netzero.net

W numerze: 1) Wiadomości; 2) Panta rhei; 3) Wybierz życie; 4) Bzykanie w służbie bezpieczeństwa; 5) Sprzedają Polskę na naszych oczach; 6) Długi powrót z Kazachstanu; 7) Polskie paszporty dla emigrantów; 8) Spod Monte Cassino do Gułagu; 9) Tajemnica popularności Jana Pawła II - I; 10) USA - cenzurka półroczna; 11) „Wielka hucpa” - I; 12) Biologiczny Żyd - III;

B. szef NASA: Wieżowce WTC runęły w wyniku kontrolowanego wyburzenia

Podczas konferencji na Uniwersytecie w San Diego, która odbyła się w dniu 21 października 2009 r., z prelekcją wystąpił m.in. były dyrektor projektów aeronautycznych NASA, Dwain Deets.

Dwain Deets wygłosił swoje przemówienie jako reprezentant prawie jednego tysiąca architektów i inżynierów, wykazując że runięcie budynków World Trade Center w Nowym Jorku 11 września 2001 roku, było wynikiem kontrolowanego wyburzenia, dokonanego przy użyciu materiałów wybuchowych.

Dwain Deets był przez 37 lat szefem zespołu inżynierów centrum badań lotów kosmicznych ośrodka NASA *Dryden Flight Research Center*. Podczas swojej kariery otrzymał liczne wyróżnienia i odznaczenia. W 1988 r. otrzymał wysokie odznaczenie Prezydenta USA *Presidential Meritorious Rank Award* za osiągnięcia w dziedzinie inżynierii lotów kosmicznych.

Deets należy do, nieustannie powiększającej się, grupy profesjonalistów - architektów, inżynierów budownictwa, inżynierów straży pożarnej, sejsmologów, fizyków i wielu innych dziedzin, którzy w sposób merytoryczny, pozbawiony politycznych naleciałości i sympatii, wykazują liczne nieścisłości i kłamstwa, lansowane w oficjalnej wersji wydarzeń.

Rzeczowe, profesjonalne raporty niezgodne z oficjalną wersją wydarzeń, pomijane są w mediach, a osoby próbujące je upowszechnić, są systematycznie ośmieszane.

www.bibula.com - na podstawie [\(materiały własne\)](#)

#

Czy to polska młodzież?

- a może to już młody narybek z Azji Mniejszej robiący za Polaków?

Przyjeżdżając do kraju na urlop trafilem akurat na "zadymę" wokół krzyża na placu przed Pałacem Prezydenckim. Walka z krzyżem nie jest zresztą tylko polskim fenomenem. Tutaj w USA wprowadza się już nie tylko zakaz wystawiania krzyży w miejscach publicznych, ale nawet choinek w czasie świąt Bożego Narodzenia, które - tutaj - nazywa się teraz Seasons Holiday. Nawet poczciwy stary św. Mikołaj okazuje się być niepoprawny politycznie. Zastąpiono go jakimś zielonym cudakiem. Niedawno głośna była sprawa usunięcia krzyża ze wzgórza w Arizonie, gdzie postawiono go jako pomnik dla miejscowych żołnierzy, którzy zginęli w czasie II wojny światowej. Natomiast w jakiś dziwny sposób pojawia się coraz więcej sześcioramiennych świeczników (menory) i to nawet na ołtarzach w katolickich kościołach, tak w USA jak i w Polsce.

Ale wracając do Warszawy. Grupa "liberalnej" młodzieży, protestująca przeciwko krzyżowi niosła plakat na którym narysowano gwiazdę Dawida, nad którą był napis z celowym błędem "rzydokomuna" (przekreślone), co miało chyba na celu wskazać, że ci którzy kojarzą komunę z żydami to ciemni, niewykształceni Polacy (moherowe berety). Wykształciuch nigdy by chyba sobie tego nie skojarzył...

Stanley Sas
P.S.

A propos, ta grupa młodzieży przypomniła mi podobne zadymy jakie prowokowali "studenci" Michnika w 1968 r. Z tym, że wówczas znajdowali łatwy poklask wśród polskiej młodzieży, bo występowali rzekomo przeciwko komunie, chociaż wielu z nas - nie rozumiało np. hasła: "Zambrowski do biura". Tym razem jednak chyba podjęli się zadania - zresztą myślę że zlecili im „starsi i mądrzejsi” - które przekroczyło ich możliwości - walkę z krzyżem.

#

Łoża B'nei B'rith działa w Polsce

Warto przypomnieć. Jak podał Nasz Dziennik [25.IX.07] i co znaleźć można w internecie: <http://bnaibrith.org/pubs/pr/2007-09-17_bbi-lodge-poland.cfm> w dniu 9.IX.07 została reaktywowana w Warszawie loża masońska B'nai B'rith. Z tej okazji, obecna na uroczystości Ewa Junczyk-Ziomecka, Podsekretarz stanu z Kancelarii Prezydenta Lecha Kaczyńskiego powiedziała m.in.: „...dziś staję przed Państwem jako przedstawiciel Prezydenta RP aby powitać Was i Waszą organizację... Jestem zadowolona, że... członkami B'nai B'rith są wybitni polscy obywatele...”.

W 1938 r. dekretem Prezydenta Ignacego Mościckiego działalność B'nai B'rith w Polsce została zakazana wraz z działalnością wszelkich obrządków masońskich. Dziś przedstawicielka prezydenta Lecha Kaczyńskiego określa ową decyzję jako powstałą „...w wyniku absurdalnych obaw, nieporozumień oraz wprowadzania w błąd...”

Jak podaje „Polski Słownik Judaistyczny” [Zofii Borzymińskiej i Rafała Żebrowskiego, Prószyński i S-ka, Warszawa 2003] B'nai B'rith powstało w 1844 roku w Nowym Jorku a „na jej kształt miała wpływ fascynacja masonerią”. Pierwsze loże B'nai B'rith w Polsce powstały pod zaborem pruskim - „Concordia” w Katowicach [1883] i „Amicitia” w Poznaniu [1885], a w Galicji nieco później, loża „Esra” w Bielsku Białej [1889] i „Solidarność” [tak, Solidarność...] w Krakowie [1892]. W Królestwie otwarto loże dopiero po I wojnie światowej, „Braterstwo” w Warszawie [1922] i „Montefiore” w Łodzi [1926].

Słynna ADL, czyli Liga Przeciwko Zniesławieniu [Anti-Defamation League] jest organizacją filialną wobec B'nai B'rith.

Obecnie reaktywowana w Warszawie loża nazywać się będzie „Polin”.

Opoka NR 64 Październik 2007 r.

#

Wstydlivy zakątek w Kiejkutach

Wygląda na to, że w Polsce, a konkretnie - w prowadzonej przez rozwiędkę szkole szpiegów, tajniaków i torturantów w Kiejkutach były, albo nawet i są do tej pory, tajne więzienia CIA, ale również - że byli tam torturowani cudzoziemscy więźniowie. Jestem oczywiście pewien, że ani prezydent Aleksander Kwaśniewski, ani premier Leszek Miller nie pozostawili podpisanych oryginałów zobowiązań do współpracy, ani pokwitowań pieniężnych i jeśli nawet akceptowali ten stan rzeczy, to „bez swojej wiedzy i zgody”. Bardzo zresztą możliwe, że szefostwo rozwiędki w ogóle nie uznało za stosowne tych wszystkich prezydentów o takich sprawach informować. I chociaż taka sytuacja nie sprzyja uznaniu Aleksandra Kwaśniewskiego i Leszka Millera za zbrodniarzy wojennych, to ujawnione przez Amerykanów rewelacje stanowią kolejną poszlakę wskazującą, że prawdziwą władzę w Polsce sprawuje rozwiędka. Dzięki tym rewelacjom lepiej również rozumiemy, skąd na koncie gen Gromosława Czempińskiego w szwajcarskim banku mogły znaleźć się te miliony dolarów, z których, wg zeznań Petera Vogla, 2 miliony ukradł mu jakiś Turek. W przeciwnym bowiem razie musielibyśmy je uznać za cud rozmnożenia, bo jakże pan generał mógłby sobie takie krocie uciulać z pensyjki szefa UOP?

Warto też przypomnieć sytuację, jaka miała miejsce po decyzji powziętej z pominięciem Sejmu przez prezydenta Kwaśniewskiego i premiera Millera o wysłaniu polskich askarisów do Iraku. Pamięamy, CIA wypłaciła wtedy swoim polskim konfidentom i „bez swojej wiedzy i zgody” współpracownikom jurgielt za pośrednictwem firemki Ostrowski Arms, „doradzającej” Konsorcjum NUR. Firemkę Ostrowski Arms znalazło bowiem w korcu maku Amerykańsko-Polsko-Irackie Konsorcjum NUR, taka internacjonalistyczna spółdzielnia pracy tajniaków, mająca siedzibę w tym samym pokoju hotelowym w pewnym miasteczku, co i firma Asham, która wygrała przetarg na dostawę broni do Iraku z polskim Bumarem. Wprawdzie firemka nie miała certyfikatów na obrót bronią, ale co to miało za znaczenie, skoro ciepło wypowiadał się o niej sam generał Marek

Dukaczewski, w swoim czasie szef Wojskowych Służb Informacyjnych, których dzisiaj już „nie ma”?
Stanisław Michalkiewicz

„Dziennik Polski” (Kraków) 10 września 2010 r.

#

Edukacja domowa efektywniejsza i tańsza

Najnowsze amerykańskie badania wykazują, iż uczniowie pobierający naukę w domu [tzw. homeschooling] uzyskują o 37% lepsze wyniki, niż uczący się w szkole. Są to już kolejne badania potwierdzające taką prawidłowość. Przy tym uczeń szkolny kosztuje 10 000 dolarów (rocznie), a uczący się w domu tylko 500 dolarów! Wychodzi na to, że kształcenie rodzinne jest o wiele bardziej efektywne i ekonomiczne.

Skąd tak znaczące różnice? Szkoła amerykańska jest specyficzna, nakierowana na praktycyzm, a nie na teorię. W rezultacie daje uczniowi mniej systematycznej wiedzy. Z kolei rodzice uczący w domu prawdopodobnie nie chcą tracić czasu na pedagogiczne eksperymenty i robią wszystko by dziecko nabyło solidną wiedzę z danego przedmiotu. O takich, a nie innych wynikach decydują więc zastosowane metody oraz dodatkowo większa determinacja w dążeniu do wiedzy [zarówno rodziców jak i dzieci]. Swoją drogą ciekawe, jak podobne badania wypadłyby w Polsce. Z uwagi na fakt, iż polskie szkolnictwo pod wieloma względami upodobnia się do amerykańskiego można spodziewać się analogicznych rezultatów.

W tej sytuacji, aż ciśnie się na usta pytanie: czy warto tracić czas i pieniądze na oświatę szkolną?

Powyższe fakty wskazują na konieczność stworzenia większej dostępności do edukacji domowej także w Polsce. Jednak całkowita rezygnacja z nauczania szkolnego nie wchodzi w rachubę. Decydują tu względy praktyczne. Nie wszyscy rodzice z uwagi na pracę w ciągu dnia są w stanie zająć się nauczaniem swoich pociech. Jednocześnie nie wszyscy mogą podjąć temu zadaniu. W praktyce w nauczaniu domowym dominują rodzice z wyższym wykształceniem i o wysokich dochodach.

Istnienie tradycyjnych szkół jest zatem konieczne. Ale czy muszą to być akurat szkoły państwowe, to już osobny temat.

<<http://www.catholic.org/clife/back2school/story.php?id=34240>>

Na podstawie badań “National Home Education Research Institute”

W obłęzonej twierdzy - Blog Dariusza Zalewskiego

#

Papież broni rodziny

Rodzina to tylko jeden mężczyzna i jedna kobieta - połączeni, by mieć dzieci i przekazać życie - mówił Benedykt XVI. Skrytykował chrześcijan, którzy skłaniają się ku liberalnemu podejściu do religii.

Każde zmiany prawne dopuszczające „alternatywne” rozumienie życia rodzinnego, jak „małżeństwa” homoseksualne, stanowią poważne zagrożenie dla prawdziwej rodziny, będącej związkiem jednego mężczyzny i jednej kobiety, stworzonych, by mieć dzieci - powiedział papież Benedykt XVI.

Zaznaczył też, że Kościół widzi coraz głośniejszą próbę eliminacji z życia publicznego chrześcijańskiego poglądu na rodzinę i małżeństwo.

- Kościół nie może akceptować inicjatyw ustawodawczych legalizujących alternatywne modele życia rodzinnego i małżeństwa. Prowadzą one do osłabienia prawa naturalnego, a co za tym idzie relatywizacji wszystkich praw, oraz prowadzą do osłabienia przywiązania społeczeństwa do wartości - powiedział Benedykt XVI.

Przypomniał również, że małżeństwo objawia się jako trwałe więzy miłości między kobietą a mężczyzną, które są przeznaczone do przekazywania ludzkiego życia. Małżeństwo wymaga dojrzałości i odpowiedniej postawy społecznej.

Papież Benedykt XVI skorzystał również z okazji, by podkreślić wyższość ludzkiego życia, szczególnie słabego i zależnego od innych. Jak zaznaczył, ono ma zawsze pierwszeństwo przed wszystkim innym.

Ojciec Święty dodał także, że jeśli kiedyś będziemy rozróżniać - co obecnie dzieje się coraz częściej w trakcie życia prenatalnego - które życie jest coś warte, a które nie - to może to prowadzić do zgody na zabijanie ludzi starych i chorych, których życie także zostanie ocenione jako niewartościowe.

Skrytykował również tych chrześcijan, którzy zamiast być gwarantami i świadkami wiary, zaczynają szukać i skłaniać się ku liberalnemu spojrzeniu na religię i wiarę.

żar/Lifesitenews.com (za: fronda.pl)

PANTA RHEI¹⁾

Już w starożytności zauważono nieodwracalny upływ czasu, brakowało jedynie i do dziś brakuje, sposobu na jego zatrzymanie. Podobno, fakt ten uświadomił ludzkości niejaki Heraklit z Efezu, mieszkaniec kolonii greckiej w dzisiejszej Turcji. Jak można się domyślać, siedząc nad górskim strumieniem, oddawał się filozoficznym rozważaniom a doszedłszy do jakiegoś interesującego wniosku, wierzył kończynami dolnymi, jak dziś niektórzy kibice na futbolowych meczach. Prawdopodobnie z tego powodu, jeden jego sandał, wpadł do spienionego potoku i odpłynął, zaś próba odzyskania sandała nie powiodła się. Zadumał się Heraklit i doszedł do wniosku, że gdyby potok stał w miejscu, wszedłby do wody i odzyskał cenne obuwie. Skonstatował więc że nie da się wejść dwa razy do tej samej rzeki, woda z poprzedniego wejścia odpłynęła. Wracając do miasta, Heraklit prawdopodobnie swoje spostrzeżenie uogólnił na całość świata, domniemając słusznie iż upływ czasu, powoduje iż nie tylko rzeka płynie, lecz wszystko co materialne i niematerialne, też zmienia się, czyli ma postać zmienną w czasie.

„Panta rei” zamruczał prawdopodobnie pod nosem - czyli nie ma nic niezmiennego, nic nie jest takie jak było przed sekundą. Wszystko rodzi się, rozwija, rozkwita i wydaje owoce, poczym więdnie i obumiera. Nie ostała się temu prawu przemijania, nawet Armia Radziecka o której panowała opinia że: „*była, jest i będzie*”.

Prawo przemijania odnosi się nie tylko do istot żywych, przyrody martwej ale i wytworów intelektu. Także odnosi się do organizacji państwowych i systemów politycznych, które powstają, rozkwitają, owocują i zostają zmiecione z reguły przez swoje „dzieci”. Spoglądając na drogę cywilizacji ziemskiej, nietrudno zauważyć, że systemy polityczne i wytworzone przez nie organizmy państwowe w starożytności istniały po kilka tysięcy lat w postaci niewiele odbiegającej od pierwowzoru. W miarę doskonalenia obiegu informacji, czas dominacji systemów politycznych kurczył się. Od Imperium Rzymskiego poczynając, okres trwania systemów politycznych opartych na prerogatywach państwa, skurczył się do kilkuset lat.

Fakt ten świadczy o uniwersalności „prawa przemijania”, które samo ulega zmianom w rytmie czasu. Od czasów faraonów, hetyckich królów czy władców Babilonu, rozwinęły się techniki komunikowania międzyludzkiego a to przyspieszyło obieg informacji zawierających nowe idee. Druga połowa XX wieku, obfitowała w niebywałe osiągnięcia technik komunikowania się, skokowe przyspieszenie dyslokacji nie tylko idei ale i ludzi, towarów i towaru specyficznego, jakim jest pieniądz.

Jednak najważniejszymi czynnikami spowalniającymi tempo przemian systemowych, jest rozwój techniki indoktrynacji i manipulacji społeczeństwem oraz łatwość dyslokacji środków płatniczych do miejsc zagrożenia obowiązującego ładu. Jeśli ktoś sądzi, iż przy pomocy technik manipulacyjnych, przedłuży na całą wieczność trwanie aktualnego układu sił, którym udało się zmajoryzować państwo a w gruncie rzeczy - zawłaszczyć, jest w błędzie. Rzeczywistość retuszowana indoktrynacją społeczeństwa z większym trudem dociera do obywateli, jednak dociera. Świadomość faktu iż elity polityczno-gospodarcze nie służą społeczeństwu tylko sobie, kumuluje się w ludziach. Po przekroczeniu „masy krytycznej” następuje erupcja przeciwdziałania dotychczasowego porządku, drogą gwałtownych zmian. Gwałtowność tych zmian jest z reguły wprost proporcjonalna do stopnia opresyjności dotychczasowego porządku oraz czasu o jaki udało się rządzącym opóźnić naturalną wymianę idei i ludzi. To jest tak jak z burzą po upalnym dniu, im większy upał tym gwałtowniejszy charakter ma burza.

W Polsce od 20 lat - na scenie politycznej dominuje układ polityczno-narodowościowy zaprogramowany przy „okrągłym stole”. Układ ten trwa w zasadzie bez zmian z uwzględnieniem rozład personalnych przy okazji wyborów. Mimo że na polskiej scenie politycznej, mamy kilka liczących się partii politycznych, to różnice programowe między nimi są raczej kosmetyczne, a głównie eksponowane są różnice personalne. Partie te strzegą pilnie aby władza w Polsce nie wylała się poza krąg zakreślony wspólnotą interesów ich przywódców. Była taka próba z udziałem LPR i Samoobrony RP, lecz wspólnym wysiłkiem wszystkich tzw partii politycznych i ich narzędzi, partie te nie mające „błogosławieństwa okrągłostołowego wujka Bronka”, zostały zaszczute.

Rządzący po dziś dzień Polską, polityczno-biznesowy układ „okrągłego stołu”, dokonał demontażu ustroju PRL bez względu na to czy demontowany element był dobry, czy rzeczywiście zły. Przerobiono

Polskę według wzorców podpatrzonych „na Zachodzie”, także nie bacząc czy małpowane wzorce są przydatne w warunkach polskich. Nawet żołnierzy WP, wbrew tradycji, zmuszono do śpiewania w czasie biegu. No więc układ okrągłostołowy, skopiował wzorce zachodnie i uznał je jako idealny model życia publiczno-państwowego, nie wymagający żadnych zmian doskonalących a skład personalny tegoż układu, założywszy, że wykonał swoją historyczną misję, postanowił trzymać się za wszelką cenę nabytych w chaosie transformacyjnym prerogatyw.

I tak cały wysiłek tzw. klasy politycznej, został skierowany nie na efektywne zgodne z oczekiwaniami wyborców kierowanie państwem lecz na wdrożenie mechanizmów, zapewniających klasie politycznej nieusuwalność od sprawowania władzy. Mechanizmy te mające postać pozornie drobnych przeinaczeń zasad demokracji, zostały obudowane legislacyjnie co powoduje iż próby odsunięcia od władzy ludzi jej niegodnych, są sprzeczne z prawem. Taki niby demokratyczny system wyborczy, nadany nam przez (słusznie wezwanego przed oblicze Pana) „wujka Bronka”, który gdyby zgłosić go do konkursu kuriozalnych systemów wyborczych, „w cuglach” sięgnąłby po prymat na świecie. Kropkę na klauzuli wiecznego uprzywilejowania bękartów „okrągłego stołu”, postawiła ustawa o finansowaniu partii politycznych.

Zatem w aureoli prawa rządzące Polską kamaryle, nie tylko legislacyjnie umacniają zdobyte pozycje ale nadają sobie kolejne przywileje, nie oglądając się na oceny wyborców. Najgorsze jest to że w tej działalności nasza tzw „klasa polityczna” w odróżnieniu od elit PRL, nie respektuje jakichkolwiek granic przyzwoitości. Ponadto będąc klientami obcych państw lub ośrodków, obrosły przez te lat dwadzieścia przywilejami osobistymi i swych mocodawców, bulwersującymi normalnego człowieka. Np. ostatnio TV podała że za osiem godzin pełnienia obowiązków głowy państwa po katastrofie smoleńskiej Borusewicz i Schetyna, będą dożywotnio otrzymywali prezydencką emeryturę (w przeliczeniu) 1 tys \$ plus ok. 4,5 tys \$ miesięcznie na prowadzenie biura. To że parlamentarzyści mają immunitety chroniące posłów - kryminalistów przed odpowiedzialnością, to już przestało bulwersować. A przywilej nadający z mocy prawa mandaty poselskie mniejszości niemieckiej też nie budzi już emocji. A inny przywilej zwalniający mniejszość żydowską z wystawiania swoich kandydatów na posłów, wrzucając ich „do jednego kotła” z etnicznymi Polakami jest bodajże najbardziej obraźliwym policzkiem wymierzonym Polakom.

Ostatnio jednak coś zazgrzytało w systemie priorytetów III RP. Oto w czasie uroczystego Zjazdu NSZZ Solidarność w historycznej sali Stoczni Gdańskiej, delegaci wygwizdali drużynę Donalda a Jarosław Kaczyński wyczuł koniunkturę i wyraził solidarność z niezadowolonymi „dołami” związku. Pomijając fakt że „Jarek” usiłował trochę na wyrost wypromować swego martwego brata na głównego oponenta żydowskich doradców Wałęsy, wyszło że chyba były dwie wizje Polski po przejściu władzy. Wizja członków tej wielkiej Solidarności i wizja żydowskich „doradców” którzy dla zmylenia Polaków utworzyli po stanie wojennym atrapę Solidarności. Niestety udało im się.

Odnoszę wrażenie że ci którzy w ciemno poszli do atrapy Solidarności sądząc, że to ta sama Solidarność licząca 10 milionów członków. Większość bo ok. 9 milionów członków pierwszej Solidarności wyczuwając intuicyjnie „szwindel”, pozostała „z boku”. Zaś ci którzy dali się zwieść Geremkom, Michnikom, Kuroniom, Mazowieckim i innym „bohaterom narodowym”, dziś budzą się z „ręką w nocniku”. Dobrze, że chociaż tak, przecie mogliby spać dalej.

To, że Kaczyński podniósł ten problem, nie znaczy że porzuci awanturowanie się o „santo subito” dla zmarłego brata i zacznie dociekać jak to się stało że władzę w 1989 roku w Polsce, przechwycili Żydzi. Jemu ten problem „wisi jak kilo kitu”. Przecież on jak i jego brat byli od początku i doskonale wiedzą co jest „grane”. Po prostu podpiął się pod tą perspektywiczną rozróbą. Zresztą z „zakonu Kaczyńskiego” dochodzą interesujące wieści. Prezes zaczął wykonywać gwałtowne ruchy, zawieszając tego lub owego, i być może szykuje zmianę celów „partii”. Myślę, że dotarło do niego, iż PiS żadnych wyborów już nie wygra, więc trzeba na dobre zagnieździć się jako „żelazna opozycja”.

Nie ma bardziej lukratywnego stanowiska niż bycie w opozycji. Pieniądz prawie ten sam ale problemów żadnych. Nie trzeba robić nic, wystarczy tylko głośno ujadać i to nawet nie koniecznie z sensem, liczy się tylko „kłapanie paszczą”. Gdyby PiS poczynił takie założenie a tak to wygląda bowiem „obcina skrzydła” zawężając elektorat, byłaby to dla Polaków zła wiadomość.

Po pierwsze PiS nadal blokowałby miejsce na scenie politycznej, przeznaczone w sposób naturalny dla nurtu narodowo-katolickiego. Po drugie PiS istniejąc, stwarza rację bytu dla Platformy Obywatelskiej i do kiedy jego widmo będzie straszyc, na zasadzie mniejszego zła, PO będzie u

władzy. Mam nadzieję jednak że zgodnie z prawem Heraklita, odpłyną w niebyt i PO i PiS i inne koterie polityczne, przecież nie są wieczne. Zatem niech „panta rhei”.

Cezary Rozwadowski - PRP

1. Panta rhei gr., wszystko płynie; wszystko na świecie jest zmienne, płynne, nietrwałe. Etymologicznie - przypisywane Heraklitowi z Efezu (ok. 500 lat pne.).

"Wybierajcie więc życie, abyście żyli wy i wasze potomstwo" (Pwt 30, 19).

WYBIERZ ŻYCIE

Tego jeszcze nie było! Reklama aborcji w sejmie!

Drodzy Przyjaciele!

Stara komunistyczna metoda to rzucanie błotem tak długo aż coś się przyczepi. Zgodnie z tym założeniem „opłaca się” robić każdą zadymę. Styl jest obojętny, ważne aby uzyskać efekt. Właśnie ostatnio obserwujemy kolejne prowokacje, mające na celu podważyć wszystko, co dla Polaków od wieków było cenne: naszą wiarę, patriotyzm, ochronę najsłabszych. Przy okazji podnosi się kolejne tzw. „tematy zastępcze”, które wywołując wiele emocji i konfrontacji zasłaniają, to o co naprawdę chodzi. Wyraźnie widać, że strona postkomunistyczna po ostatnich wyborach zaczyna się czuć coraz lepiej, w wielu punktach swojego programu wspomagana przez bratnią opcję tzw. liberalną.

ABORCJONIŚCI W POLSKIM SEJMIE

Już nie pod Sejmem, ale w środku. To doprawdy skandal, aby promocja aborcji na życzenie, która jest w Polsce nielegalna, odbywała się w naszym Parlamencie. Spotkanie to odbyło się 26 sierpnia (Święto Matki Bożej Częstochowskiej) pod nazwą - wysłuchania obywatelskiego. Organizujący je poseł Marek Balicki oświadczył, że jest ono wyrazem demokracji, w której należy prezentować wszystkie poglądy. W ramach tej demokracji nie zaproszono jednak nikogo, kto mógłby tam bronić życia dziecka poczętego i zdrowia jego matki. Zaproszono na nie natomiast dyrektorów zagranicznych klinik aborcyjnych i aborcjonistów z Austrii, Holandii, Niemiec i Wielkiej Brytanii, którym umożliwiono prezentację ich poglądów i działalności.

REKLAMA ABORCJI W SEJMIE

Zaproszeni przedstawiciele zagranicznych klinik aborcyjnych swobodnie reklamowali tzw. turystykę aborcyjną. Niektórzy z nich nawet urodzili się w Polsce i zostali zatrudnieni przez zagraniczne kliniki aborcyjne, w celu zabijania polskich dzieci. Oni na tym zarabiają wielkie pieniądze! I robią to właśnie, przy tym dobrze zarabiając. Reklama w polskim Sejmie to dla nich wielka okazja zwiększenia liczby klientek.

Federacja Kobiet i Planowania Rodziny, współorganizator tego spotkania, od lat stosuje propagandę, że w Polsce jest ok. 200 tys. nielegalnych aborcji. Skąd ta olbrzymia cyfra? Nie ma na nią żadnych dowodów. W Polsce naprawdę nie ma tytułu aborcji i pomimo wielu usiłowań feministek nie udało się takiej wielkiej liczby udowodnić. Ta cyfra jest „wyssana z palca” na życzenie zwolenników aborcji, którzy usiłują wmawiać, że duża liczba przestępstw jest argumentem do ich zalegalizowania. Jest to swoisty absurd, w ten sposób zanegowalibyśmy całe prawo karne. Tym razem poszukano nielegalnych aborcji za granicą i padła ta sama liczba 200 tys.

FALSZYWE DANE

Naciąganie danych przez zwolenników aborcji jest dobrze znane. Publikowane przez nich w różnych krajach dane są często zupełnie absurdalne, np. podawana liczba zgonów z powodu nielegalnej aborcji potrafiła przewyższać liczbę wszystkich zgonów kobiet z powodu macierzyństwa. Od wiosny bieżącego roku feministki w Polsce prowadzą kampanię na rzecz turystyki aborcyjnej. Usilnie twierdzą, że tłumy „spragnionych aborcji” Polek jeżdżą w tym celu do Anglii, a ich liczba wyniosła w 2009 r. od 10-30 tys. Tymczasem Brytyjski Departament Zdrowia opublikował oficjalne dane za 2009 r., według których odnotowano 20 przypadków aborcji u obywaterek Polski, co stanowi 0,3% wszystkich aborcji wykonanych u kobiet z zagranicy. Ten przykład pokazuje, ile są warte dane publikowane przez aborcjonistów.

FRONTALNY ATAK NA KOŚCIOŁ

Poseł Marek Balicki podczas spotkania w Sejmie oświadczył, że nawet Trybunał Konstytucyjny nie potrafił wyzwolić się z nacisku Kościoła. Chodzi oczywiście o zakaz aborcji na życzenie i ze względów społecznych. To „wyzwolenie” ma polegać na wprowadzeniu tzw. świeckości państwa i wolnego

dostępu do aborcji. Już to przerabialiśmy za komuny, ale młodzi tego nie znają i ktoś liczy, że dadzą się nabrać.

PO CO ONI TO ROBIĄ?

To trudne pytanie, bo ludzie mają różne motywy osobiste. Kobiety często reagują emocjami. Tym razem jednak jest to prowokacja polityczna i to wprost. Aborcjoniści chcą zmienić w Polsce prawo i założyć u nas kliniki aborcyjne, które przynoszą olbrzymie zyski, a również - a może przede wszystkim - udostępnią prawnie zabijanie polskich dzieci. O prawdziwe dobro kobiet wcale im nie chodzi, bo znakomicie wiedzą, jak aborcja je okalecza. Wprowadzenie zmian legislacyjnych nie jest dla nich łatwe i proste, starają się więc robić odpowiednią do ich zamiarów atmosferę. Im więcej będzie w mediach takich promujących aborcję akcji, tym ich szanse wzrosną. Pociąg szybko jedzie dalej, więc liczą, że w końcu im się uda. My się jednak na to zgodzić nie możemy.

CO MOŻEMY ZROBIĆ?

Musimy być czujni i aktywnie bronić życia. Nie możemy sobie pozwolić, aby aborcjoniści narzucali nam swoje poglądy i promocje swoich akcji reklamowych. Powinniśmy protestować i jednocześnie dawać świadectwo udzielając wsparcia kobietom w ciąży w trudnej sytuacji.

Podejmijmy usilną modlitwę o ochronę życia każdego poczętego dziecka oraz o nawrócenie przeciwników życia. Ruchy prolife potrzebują też wsparcia finansowego, gdyż mogą liczyć tylko na „wdowi grosz”, mając przeciwko sobie wielkie pieniądze programów unijnych.

Zjednoczeni w działaniu nie pozwolimy na zabijanie polskich dzieci!

Serdeczne Bóg zapłać wszystkim którzy pomagają ratować życie!

W imieniu KPLŻ - Ewa H. Kowalewska

Klub Przyjaciół Ludzkiego Życia - Human Life International - Polska

BZYKANIE W SŁUŻBIE BEZPIECZEŃSTWA

Jak zauważył Feliks Koneczny, kształt każdej cywilizacji określany jest przez tzw. quincunx, czyli sposób pojmowania pięciu kategorii: dobra, prawdy, piękna, zdrowia i dobrobytu. Ponieważ uważał że sposób rozumienia tych kategorii przez ludzi ukształtowanych przez odmienne cywilizacje jest inny, to żadna harmonijna synteza między cywilizacjami nie jest możliwa. Próby jej stworzenia doprowadzają albo do zwycięstwa cywilizacji niższej, albo do bastardyzacji obydwu cywilizacji, biorących udział w tym eksperymencie. Na przykład próba harmonijnego połączenia cywilizacji sakralnej, np. żydowskiej z cywilizacją niesakralną, np. łacińską, może doprowadzić albo do dominacji cywilizacji żydowskiej, albo do bastardyzacji zarówno cywilizacji żydowskiej, jak i łacińskiej. Oczywiście Feliks Koneczny czynił takie spostrzeżenia w epoce, gdy naukowcom jeszcze wolno było publicznie głosić to, co naprawdę myślał. Dzisiaj byłoby to albo niemożliwe, albo bardzo trudne - ale właśnie ta różnica skłania nas i upoważnia do porównywania poszczególnych cywilizacji, bez względu na to, co na ten temat powiedzą pacanowskie autorytety z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, na obstalunek Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wypłatające duby smalone na temat „języka nienawiści”.

Zwróćmy uwagę, że dla cywilizacji sakralnej charakterystyczny jest argument z autorytetu, który to w cywilizacji niesakralnej w ogóle nie występuje, a jeśli nawet - to tylko gdzieś na nieistotnym marginesie. Znakomitym przykładem praktycznego funkcjonowania argumentu z autorytetu w sakralnej cywilizacji żydowskiej - jest opis dyskusji diakona Szczepana z przedstawicielami synagogi aleksandryjczyków i libertynów. Kiedy diakon Szczepan stwierdził, że widzi „niebo otwarte i Syna Człowieczego”, jego dyskusyjni partnerzy zatkali sobie uszy i podnieśli krzyk, żeby go zagłuszyć. Otóż współczesne dyskusje naukowe w Europie i Stanach Zjednoczonych właśnie tak wyglądają, z tym, że krzyku w sensie dosłownym nikt może nie podnosi, chociaż niekiedy i to się zdarza, natomiast funkcję owego krzyku który ma zagłuszyć niepożądany przekaz, pełnią interwencje organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości. W cywilizacji sakralnej bowiem niektóre spostrzeżenia mogą być uznane za bluźniercze - na przykład powątpiewanie w bezprecedensowy charakter holokaustu - co siłą rzeczy musi ograniczać wszelką dyskusję. Toteż współczesne dyskusje naukowe przypominają znane z opisów A. Solżenicyna tzw. „świergolenie”, to znaczy - powtarzanie własnymi słowami, a niekiedy nawet i nie własnymi, spostrzeżeń zatwierdzonych, a przynajmniej - dozwolonych cenzurą. Taki jest właśnie rezultat próby harmonijnego połączenia dwóch różnych cywilizacji, podobnie jak zwycięstwo zasady odpowiedzialności zbiorowej.

A przypominam to wszystko między innymi ze względu na przedsięwzięcie nazwane Akademią Sztuk Przepięknych, będące tradycyjnym już elementem „Przystanku Woodstock” urządzanego dla młodych ludzi przez Jerzego Owsiaaka. W tej Akademii wystąpił między innymi przewodniczący Parlamentu Europejskiego Jerzy Buzek, który rzeczywiście dokonał nie lada sztuki. Jak pamiętamy, po objęciu stanowiska charyzmatycznego premiera, zainicjował cztery wiekopomne reformy, które w założeniach miały wszystkim przychylić nieba. Ale na tym świecie nie ma rzeczy doskonałych, więc jeśli nie można przychylić nieba wszystkim, to dobrze, jeśli uda się przychylić go przynajmniej niektórym. I właśnie taka myśl przewodnia kierowała poczynaniami charyzmatycznego premiera Buzka i wspierającej go parlamentarnej kamaryli posłów i senatorów Akcji Wyborczej „Solidarność” i Unii Wolności. Zanim przejdę do omówienia owych wiekopomnych reform, chciałbym przedstawić uwagę metodologiczną. Otóż każde reformy mają cele rzeczywiste i cele deklarowane. Łatwo odróżnić jedno od drugich, ponieważ cele rzeczywiste, czyli prawdziwe, MUSZĄ pojawić się od razu, jako naturalna i nieuchronna konsekwencja reformatorskich przedsięwzięć. Cele deklarowane natomiast albo się pojawiają, albo nie. Przeważnie zresztą się nie pojawiają.

Otóż nieuchronną i naturalną konsekwencją czterech wiekopomnych reform charyzmatycznego premiera Buzka był skokowy wzrost synekur w sektorze publicznym co dowodzi, iż w tym przedsięwzięciu chodziło właśnie o to, by przychylić nieba przynajmniej niektórym, chociaż nie można wszystkim. A komu? Ano - zapleczu politycznemu parlamentarnej kamaryli AW„S” - UW, które dzięki temu zostało wzięte na utrzymanie Rzeczypospolitej, czyli pozostałych podatników. Oczywiście istniejące podatki nie mogły sprostać temu skokowemu wzrostowi kosztów funkcjonowania państwa i deficyt budżetowy za rok 2001 wyniósł wprawdzie „tylko” 32,6 mld zł - ale tylko na skutek radykalnych cięć wydatków przeznaczonych na przychylenia nieba zwykłym ludziom. Dzisiaj, gdy ani minister Rostowski, ani nawet zwolennicy „przyjaznego państwa” nie widzą niczego nadzwyczajnego w deficycie 52 mld złotych i perspektywie podwyżki podatków, możemy charyzmatycznego premiera Buzka wspominać z nostalgią, jako „ludzkiego pana”, ale nie o to chodzi, bo chodzi przecież o „sztuki przepiękne”. Otóż charyzmatyczny premier Buzek dokonał nie lada sztuki, którą można by nawet uznać za przepiękną, chociaż tylko w innej cywilizacji, niż łacińska. Ograbił mianowicie skołowanych Polaków, zmuszając ich do wzięcia na utrzymanie 550 tysięcy drapichrustów (bo tyłu właśnie urzędników przychyła nam nieba: trzy razy więcej, niż za generała Jaruzelskiego), tworzących tak zwaną „klasę polityczną”.

To rzeczywiście duża sztuka, ale jeszcze większej dokonała razwiedka, przeprowadzając wybór charyzmatycznego Jerzego Buzka - który, nawiasem mówiąc, został zarejestrowany przez razwiedkę aż pod dwoma pseudonimami jednocześnie - na posła do Parlamentu Europejskiego, który nawet wybrał go na swego przewodniczącego. To już można bez żadnej przesady nazwać sztuką przepiękną - oczywiście w cywilizacji innej niż łacińska - i dlatego zaproszenie Jerzego Buzka na Akademię Sztuk Przepięknych festiwalu Woodstock było jak najbardziej uzasadnione. Również dlatego, że w na terenie festiwalowym poczesne miejsce zajmował namiot, na którym organizatorzy umieścili zachęcający napis: „Tu nauczymy cię, jak bzykać się bezpiecznie”. Z opowieści uczestników wynika co prawda, że w instruktażu przeważały elementy teoretyczne, ale jeśli w przyszłości sponsorzy hojniej sypną groszem, to kto wie - może można będzie zaangażować wolontariuszki ze wszystkich agencji towarzyskich w kraju, bo z bezpieczeństwem, wiadomo - żartów nie ma, no a poza tym każdy hodowca też się stara, żeby bydło myślało - gdyby, ma się rozumieć, myślało - że skoro wszyscy tak się koło niego uwijają, to ono jest tu najważniejsze.

St. Michalkiewicz - michalkiewicz.pl [11.XIII.2010 r.]

SPRZEDAJĄ POLSKĘ NA NASZYCH OCZACH

O ile można zrozumieć dobre samopoczucie władzy, która ze swej natury nie lubi przyznawać się do błędów - tym bardziej gdy zbliżają się wybory samorządowe i parlamentarne - o tyle znacznie trudniej pojąć bezwolną akceptację a raczej kompletny brak reakcji znacznej części naszego społeczeństwa na katastrofalną politykę rządu. Tego rządu, jak i zresztą poprzednich - poza krótkimi okresami sprawowania władzy przez ekipy nielewicowe i nieliberalne.

Nie widać żadnej głębszej refleksji na temat kondycji naszego państwa z miesiąca na miesiąc redukującego swoje konstytucyjne zobowiązania wobec społeczeństwa. Nie niepokoi fakt, że w poszukiwaniu ratunku dla rosnącej jak na drożdżach dziury budżetowej rząd gotów jest zrobić

wszystko, by oddalić własną katastrofę. Przykładem jest choćby pomysł - sprzedaży miliona hektarów polskiej ziemi, która trafi w obce ręce, a nie do polskiego rolnika pozbawionego gotówki i kredytów na jej zakup. Jak zwykle u nas zarobią zagraniczni spekulanci, którzy po wprowadzeniu przez UE w 2016 r. zasady wolnego obrotu ziemi zakupione polskie hektary będą mogli z zyskiem odsprzedać. Odsprzedać komu tylko zechcą, i to bez jakichkolwiek ograniczeń. Rząd nie podejmuje żadnej merytorycznej dyskusji na temat gospodarczych czy finansowych zagrożeń, a wszelką krytykę odbija jako "polityczny", nieuzasadniony atak.

WROGA POSTAWA MEDIÓW

Opozycja, za sprawą nieprzychylniej, a nawet wrogiej postawy większości mediów, które to wraz z władzą tworzą wspólną linię frontu, nie jest w stanie wypełniać swojej demokratycznej funkcji w państwie, czyli obserwatora i krytyka poczynań rządu. Można odnieść wrażenie, graniczące z pewnością, że prawdziwej opozycji, ma nie być w ogóle. Takie jest pragnienie władzy, mediów, oligarchów, rodzimych i obcych służb oraz wielu zacządzonych propagandą obywateli. Tworzy się przedziwny, niedemokratyczny model państwa, na wzór Rosji, w którym opozycja pozbawiona jakiegokolwiek wpływu na politykę rządu traktowana jest jako największe zagrożenie.

Bezrefleksyjność znacznej części społeczeństwa bierze się z braku wiary w możliwość wpływu na własne państwo. Przypomina to tę bezradność z lat komuny. Ale nie brakuje igrzysk. Huczne obchody 30-lecia "Solidarności", która walczyła o wolność, dziś sprowadzają się do akademii, koncertów i do remontu historycznej sali BHP, gdzie w końcu sierpnia 1980 r. stoczniovcy podpisali porozumienie z komunistycznym rządem. Stoczniovcy, zwykli robotnicy pamiętający tamte dni, mają rzeczywiście prawo do dumy ze swojej patriotycznej postawy, ale nie mają już swoich stoczni, zakładów pracy, silnych związków zawodowych. „Solidarnościowe” elity pogodziły się z decyzjami Unii Europejskiej. W podziale pracy dla nowych członków UE Polska ma być krajem ludzi żyjących z handlu, usługi lokalnej administracji. Produkcja jest zastrzeżona dla krajów bogatszych i wpływowych.

HIPERMARKETY WYPROWADZAJĄ ZYSKI

Każdego roku zagraniczne sieci hipermarketów wyprowadzają z Polski ok. 40 mld zł zysku. Robią to bardzo umiejętnie. Z jednej strony kupują po zawyżonych cenach towary ze swoich krajów (wysoki koszt pomniejsza dochód, od którego liczone są podatki, o ile w ogóle są płacone), z drugiej zaś strony narzucają niskie ceny polskim dostawcom towarów, decydując o poziomie cen na rynku wewnętrznym. Dostawcom płać, gdy towar zostanie sprzedany, często w ratach oraz po potrąceniu obowiązkowej opłaty za reklamę i inne wymyślane usługi własne.

W tym czasie "polskie" media mogą przekazać z nieukrywaną radością, w ramach tzw. michałków gospodarczych, że najbogatszym Francuzem... został w tym roku Gerard Mulliez, twórca sieci handlowej Auchan. Tylko ten jeden Francuz, któremu państwo polskie pomogło stworzyć warunki do biznesu, posiada osobisty majątek wartości 15 mld euro. Tuż za tym biznesmenem od międzynarodowego handlu, handlu, który nie tworzy żadnego potencjału gospodarczego, technologicznego ani żadnego knowhow, uplasowali się: właściciel sieci handlowej - także wyraźnie obecnej w Polsce - Bernard Arnault, kontrolujący sieć sklepów Carrefour, i Lihane Bettencourt, największa akcjonariuszka sieci L'Oréal. Nie wiadomo, jaki majątek ma Portugalczyk..., właściciel sieci Biedronka, który konsekwentnie buduje swoje, wcale nie takie małe, sklepy-pawilony w powiatowych i gminnych miasteczkach Polski, wypierając ostatnie parterowe sklepiki, które były jedynym miejscem zatrudnienia dla właścicieli i ich rodzin. Turyści omijają już te sklepy, zaopatrując się w Biedronce.

NIE WIERZĄ W PROPAGANDOWE HASŁA

Interesem dla bogatych krajów UE jest nie tylko polski rynek - 38 mln konsumentów, ale i to, że Polacy mogą świadczyć pracę poza swoimi granicami. Rozwijają gospodarkę, powiększają konsumpcję, płać podatki i w olbrzymiej większości pozostaną w kraju zarobkowania na zawsze. Z 2 mln 200 tys. Polaków w Wielkiej Brytanii powróciło do kraju tylko 60 tys., mimo kryzysu w Anglii i zapewnień polskiego rządu o wspaniałym rozwoju naszej gospodarki. Dziś już w propagandowe hasła nie wierzą. Mają kontakt z Polską i nie chcą zasilić armii 1 mln. 800 tys. bezrobotnych.

Do zniesienia ograniczeń pracy dla Polaków gotowi są już Niemcy. Wkrótce ruszy za Odrę pół miliona Polaków, informatyków, matematyków, inżynierów i innych specjalistów. Dla ludzi wykształconych na polskich uczelniach praca będzie w pierwszej kolejności. Bo naszą specjalnością w Unii, oprócz bycia zbiorowym konsumentem produktów obcego handlu i usług, jest dostarczanie na europejski rynek pracy młodych, wykształconych i porządnych w zasadzie ludzi. Wychowanych w katolickich

rodzinach, w tradycyjnej jeszcze kulturze, z gruntu uczciwych i pracowitych, ale także głęboko nieszczęśliwych, bo pozbawionych własnych politycznych elit, które zadbałyby o ich przyszłość w ojczywym kraju.

Wojciech Reszczyński - Nasz Dziennik

DŁUGI POWRÓT Z KAZACHSTANU

Powolna, nieskuteczna, niesprawiedliwa - tak wygląda dziś polityka tzw. repatriacji Polaków z Kazachstanu. Czas oczekiwania na powrót do Macierzy wynosi od 7 do 10 lat! Dlatego wielu naszych rodaków straciło już nadzieję na naprawienie krzywd i uzyskanie polskiego obywatelstwa. Sytuację może zmienić społeczny projekt ustawy o powrocie z Kazachstanu.

Aspekt historyczny losów polskiej diaspory w sposób bardzo znaczący do dziś wpływa na losy potomków przesiedleńców. Zakłamanie w okresie PRL i świadome przemilczanie zbrodni komunistycznych doprowadziło do całkowitego wyparcia ze zbiorowej pamięci losów Polaków w byłym ZSRS.

Po zakończeniu wojny polsko-rosyjskiej w 1920 r. na terenie ówczesnego Związku Sowieckiego było ok. 1,3 miliona Polaków. Głównie w okolicach Mińska na Białorusi oraz na terenach Podola i Wołynia na Ukrainie sowieckiej, za graniczną rzeką Zbrucz. Na obszarach z przewagą ludności polskiej powołano dwa okręgi autonomiczne. Jeden nazywany Dzierżyńszczyzną na Białorusi (w okolicach Mińska) ze stolicą w Kojdanowie - przemianowanym na Dzierżyńsk, oraz tzw. Marchlewszczyznę na Podolu ze stolicą w Dowbyszu - przemianowanym na Marchlewsk.

Po dojściu Stalina do władzy swoisty eksperyment, jakim były rejony autonomiczne, zakończył się krwawo. Na mocy rozkazu Biura Politycznego KC WKP [b] nr 000485 z 9 sierpnia 1937 r. podpisanego przez Jeżowa rozpoczęto tzw. operację polską. W jej wyniku rozstrzelano na terenie Związku Sowieckiego 111 tys Polaków i osób podejrzewanych o związki z polskością, a ponad 60 tys zesłano na 10-15 lat łagru.

Inny los spotkał przynajmniej część Polaków z Marchlewszczyzny na Ukrainie. Przed masowymi egzekucjami w latach 1937-1938, jak też w ich trakcie, część osób z silną polską tożsamością narodową została przesiedlona do Kazachstanu w ramach oczyszczania przygranicznego pasa wzdłuż rzeki Zbrucz [granica sowiecko-polska] z "elementów niepewnych" dla władzy sowieckiej.

Po zakończeniu wojny pozwolono wrócić do Polski tylko zesłańcom deportowanym do Kazachstanu z Kresów zajętych przez Rosję w latach 1940-1941 i posiadającym obywatelstwo polskie. Polakom przesiedlonym z Ukrainy sowieckiej nie przysługiwało prawo do tzw. repatriacji - nie mieli oni bowiem obywatelstwa RP. Pozbawieni możliwości pełnienia jakichkolwiek funkcji publicznych, z ograniczonym dostępem do wiedzy, traktowani byli jak obywatele drugiej kategorii.

Polakami w odległym Kazachstanie nie interesował się nikt - ani rząd polski, ani ówczesne Towarzystwo "Polonia". Na przełomie lat 80 i 90-tych Polacy z Kazachstanu zaczęli sami starać się o powrót do Polski. Dzięki pomocy ludzi dobrej woli, w tym samorządowców, pierwsza do Reszła sprowadziła się rodzina Markowskich. Jednak ich status prawny nie mógł zostać uregulowany: nie było żadnych aktów prawnych dających możliwość uznania ich za repatriantów. Rząd polski pierwszy raz "dostrzegł" Polaków z Kazachstanu w 1996 r., po wydaniu orzeczenia polskiego Trybunału Stanu i stanowisku Rzecznika Praw Obywatelskich - wprowadzono wtedy zmiany do ustawy o cudzoziemcach [status repatrianta]. Pierwsze niewielkie środki rząd wyasygnował dopiero w 1999 r., a Ustawę o repatriacji uchwalono w 2000 r. Powołany na drodze rozporządzenia wynikającego z ustawy Urząd Pełnomocnika Rządu ds. Repatriacji został zlikwidowany za rządów premiera L. Millera. Sprawy nadzoru nad tzw. repatriacją wróciły do kompetencji MSWiA. Zajmujące się tymi kwestiami Biuro ds. Uchodźców i Repatriacji (URiC) wprowadziło w życie system "Rodak".

Za podstawę repatriacji uznano zaproszenie gminy, co znacznie ograniczyło liczbę powrotów Polaków do Macierzy. W kolejce do repatriacji w ramach systemu "Rodak" nadal oczekuje 1690 rodzin - ogółem 2632 osoby. Okres oczekiwania wynosi od 7 do 10 lat! Łącznie w latach 1997-2009 przyjechało do Polski 7066 osób. Polacy w Kazachstanie zwątpili już w szansę powrotu do Polski.

I co ciekawe, tysiące naszych rodaków przyjęły natomiast Rosja i Niemcy w ramach swojej polityki powrotu.

Powstała po rozpadzie ZSRS Federacja Rosyjska przyjęła trójstopniowy program przesiedleń dla "zagranicznych rodaków". Podjęła się również opieki nad obywatelami mieszkającymi poza granicami.

Po zgłoszeniu się do biura repatriacyjnego dana osoba trafia do wskazanego obwodu i otrzymuje obywatelstwo w ciągu trzech miesięcy. Wykorzystując ten system, na teren obwodu kaliningradzkiego przybyły duże grupy "repatriantów" polskich głównie z Kazachstanu, ale również z innych byłych republik (np. z Mołdawii).

Drugim krajem, w którym obecnie znajduje się najwięcej repatriantów polskiego pochodzenia - głównie z Kazachstanu - są Niemcy. Polityka powrotu stanowi tu jeden z elementów szerszych działań na rzecz rodaków poza granicami. Są oni objęci skoordynowaną opieką na poziomie krajowym i federalnym.

Wydaje się, że dopiero na tym tle zrozumieć można konieczność wejścia w życie nowej ustawy o powrocie. Chaos pojęciowy, opieszałość władz i niewielka skuteczność urzędników w wykorzystaniu środków skutkuje zadziwiająco sytuacją. Znaczna część osób polskiej narodowości, pragnąc wrócić do Polski, co jest praktycznie niemożliwe, wykorzystuje programy repatriacyjne Niemiec i Rosji, i w efekcie trafia do tych państw.

Może z tej perspektywy bardziej zrozumiałe okażą się kwestia podjęcia z inicjatywy Macieja Płażyńskiego, przewodniczącego Stowarzyszenia "Wspólnota Polska", wspólnej pracy nad ustawą, a także same rozwiązania zawarte w naszej propozycji. Zimą 2010 r. na zjeździe organizacji kresowych w Pułtusku podjęto uchwałę o pracach nad społecznym projektem ustawy o powrocie z Kazachstanu. Zakończyliśmy pisanie ustawy w środę, 7 kwietnia, niestety, w sobotę 10 kwietnia, Maciej Płażyński zginął pod Katyniem. Komitet nadal jednak działał, a jego pełnomocnikiem został Jakub Płażyński, syn tragicznie zmarłego.

Odrzuciliśmy zdecydowanie "egzamin z polskości". Podstawowym założeniem, nieobecnym do tej pory w ustawodawstwie polskim, jest domniemanie dyskryminacji z powodu przynależności do Narodu Polskiego. Stąd też nie będziemy wymagać od przesiedleńców procedur egzaminacyjnych. Zasadniczym kryterium powrotu jest deklaracja przynależności do Narodu Polskiego i udokumentowanie prześladowań ze strony Związku Sowieckiego, własnych bądź przodków, oraz dalsze powojenne losy.

Projekt ustawy przenosi ciężar organizacyjny z gmin na poziom państwowy, widzimy bowiem, iż skala tego przedsięwzięcia przekracza możliwości samorządu. Porzuciliśmy logikę indywidualnych zaproszeń przez gminę. Proponowany jest system kontyngentów rocznych, dający konkretną perspektywę czasową dla rodzin pragnących powrócić. Unikamy w ten sposób dziwnej sytuacji wieloletniego "zawieszenia" i niepewności co do własnego losu. Dzięki temu możliwy jest do określenia zakres czasowy działania systemu powrotu. Przyjęte rozwiązania, w odróżnieniu od dotychczasowych, nie preferują tylko bardziej zamożnych (powrót na koszt własny) czy lepiej wykształconych, których z chęcią przyjmowały gminy. Zaplanowany jest system przeszkolenia do prostych, aczkolwiek potrzebnych na rynku pracy zawodów, co wyrówna szansę polskich dożarek i traktorzystów z odległych stepów. Świadomi często trudnej ekonomicznie sytuacji milionów Polaków ograniczamy jednak czasowo zakres polityki zadośćuczynienia. Po okresie 36 miesięcy pomocy ze strony państwa [zakwaterowanie, zapomogi, przeszkolenie] osoby, które przeszły takie kursy, bądź posiadają wyuczone atrakcyjne zawody, samodzielnie będą mogły już rozpocząć życie w Macierzy.

W procesie powrotu istotną rolę gra zasada łączenia rodzin repatriantów. Nadmieniam o tym, ponieważ dotychczasowa polska ustawa dzieliła rodziny, szczególnie jest to bolesne w przypadku rodziców i dzieci (np. studenci polonijni po otrzymaniu obywatelstwa w ramach ustawy nie mogą się ściągnąć do Polski w ramach tzw. repatriacji swoich rodziców). Proponowane rozwiązania sprzyjają powrotowi dużych, wielopokoleniowych rodzin. Wzorujemy się tu na przykładzie niemieckim, gdzie duże rodziny, otrzymując zapomogi na każdą osobę i mieszkając razem, nawet w trudnych warunkach, są jednak w stanie łatwiej się zagospodarować. Jest tu problem, ponieważ jest konieczna przychylność Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które powinno podjąć starania o podpisanie umowy o przekazaniu składek emerytalnych z Kazachstanu. Jest to istotne, gdyż starsi rodzice i dziadkowie, nie mając praw do pełnej emerytury w Polsce, aby nie być ciężarem dla dzieci, pozostawali w Kazachstanie.

Oczywiście można zarzucić, że Polski nie stać na taką skalę działań jak Niemcy czy Rosja. Pragnę jednak nadmienić, że podobne akcje opieki nad rodakami poza granicami podjęła i kontynuuje m.in. już od 1992 r. Litwa, od 1997 r. Słowacja, od 2001 r. Węgry, a także Ukraina. Dodatkowym argumentem może być fakt, że obecnie Polska utrzymuje na swym terenie kilka tysięcy uchodźców z różnych zakątków świata z możliwością otrzymania obywatelstwa. Staraliśmy się w projekcie ustawy

zrównać jedynie prawa repatrianta ze statusem uchodźcy (zapomoga, kursy, zakwaterowanie do czasu usamodzielnienia).

W obecnej chwili zbierane są podpisy pod projektem ustawy. Dlatego zwracam się do Państwa z prośbą o pomoc w zbiorce podpisów i nadsyłanie ich na adres Obywatelskiego Komitetu Inicjatywy Ustawodawczej "Powrót do Ojczyzny": Stowarzyszenie "Wspólnota Polska" - Biuro Zarządu Krajowego, ul. Krakowskie Przedmieście 64, pokój nr 17 00-322 Warszawa

Autor jest socjologiem, pracownikiem Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Należy do Związku Repatriantów RP.

Dr Robert Wyszyński - Nasz Dziennik [22 lipca 2010]

=====

POLSKIE PASZPORTY DLA EMIGRANTÓW 68.

[...] Rok temu, pod naciskiem Związku Gmin Żydowskich i Stowarzyszenia Otwarta Rzeczpospolita, szef MSWiA rozesłał do wojewodów list, w którym decyduje: „Działania podjęte w warunkach przymusu, nie mogą być podstawą rozstrzygnięć administracyjnych w demokratycznym państwie”. Jak donosi „Gazeta Wyborcza”, na skutek tego pisma przez rok nie wydano ani jednej odmownej odpowiedzi w sprawie uznania marcowych emigrantów za obywateli Polski. Niestety, nie da się nadrobić strat, jakie ponieśliśmy z powodu wzgardzenia 13 tys. ludzi należących do elity intelektualnej narodu, jednak Polska może poprawić swój wizerunek jako państwa cywilizowanego, rozumnego prawa.

Nie zapominajmy również, że na potwierdzenie swego obywatelstwa wciąż czekają Żydzi z przedwojennych Kresów, którzy uciekli przed władzą sowiecką jak też ci z fali emigracyjnej 1957 roku.

Elżbieta Isakowicz – <http://tygodnik.onet.pl/0,23432,komentarz.html>

Oдноśnie ucieczki przed władzą sowiecką: - *Nie była to ucieczka, a wyjazd zaplanowany do Izraela w celu zaludnienia go ludnością żydowską po utworzeniu państwa Izrael w 1948 r.*

Stanisław Fiut,

Komentarz:

Na podstawie powyższych artykułów o powrocie Polaków z Kazachstanu i emigrantów z Izraela po 1968 r., widzimy że rząd Polski stosuje zasadę obowiązującą w „Folwarku zwierzęcym” Orwella, która mówi, że są równi i równiejsi. Przy czym wyższość „równiejszych”, zasadza się na dość wątpliwych racjach.

Prawo do powrotu do Ojczyzny, Polaków deportowanych przez bolszewików w głąb imperium sowieckiego po aneksji polskich Kresów Wschodnich, nie podlega jakiegokolwiek dyskusji. Nie ma bardziej oczywistego powodu do jakiegokolwiek repatriacji.

Natomiast prawo do repatriacji dla Żydów wydalonych (a ich rodziny dobrowolnie emigrujące), jest dość „naciągane”. Zostali oni wydaleny jako grupa przygotowująca zamach na legalną [bądź co bądź władzę państwa], stanowiącą zagrożenie dla narodu polskiego. Metody rządzenia żydowskiej mafii w Polsce bezpośrednio po wojnie, były zbyt krwawe i obliczone na zdławienie ambicji narodowych Polaków aby mogły być zaakceptowane przez nasze społeczeństwo. Tak emigracja żydowskiej „śmietanki” politycznej z Polski w 1968 roku, wyglądała z perspektywy Polaków.

Z perspektywy Izraela sprawa miała się inaczej. Oto państwo żydowskie w owym czasie, było w stanie konfliktu z krajami arabskimi i potrzebowało wzmocnienia, szczególnie kadrami wojskowymi przed przygotowywanym rozstrzygnięciem zbrojnym. Ludowe Wojsko Polskie było mocno zażydzone a znaczna ilość oficerów narodowości żydowskiej była doskonale wykształcona w Akademii Sztabu Generalnego w Rembertowie. Jako komentarz do zaspokojenia potrzeb kadrowych armii izraelskiej, niech świadczy sam fakt że wszyscy dowódcy brygad armii izraelskiej to absolwenci rembertowskiej ASG. Aby tak się stało „komandosi” (Michnik, Kuroń itp.) otrzymali zadanie zorganizowania „zadymy”, która sprowokuje Gomułkę do pozbycia się żydowskiej elity jako konkurenta do władzy. Tak sprokurowane opuszczenie Polski, nie jest wystarczającym powodem do uznania prawa „marcowych Polaków” do repatriacji.

Kilka dni temu TV, z okazji jakiejś imprezy żydowskiej w Łodzi, zaprezentowała monolog „100 procentowego Polaka” w jarmulce, który z żarliwością przekonywał że siedzi w nim tożsamość polska, obok tożsamości żydowskiej. Myślę że sporo pół lub ćwierćgłówków przyjęło jego argumentację. Mnie niestety tylko rozjuszyła.

Bo co to znaczy być polskim patriotą i mieć tożsamość polską? Przecież to nic innego jak gotowość służenia Polsce. Jak wiadomo jeśli ktoś służy dwóm panom, służy obydwu tylko po części, powiedzmy po połowie. Kto służy Polsce tylko w połowie, lepiej dla polski aby nie służył zupełnie. Właściwie jeśli wg jarmułkowej teorii, można mieć dwie równoprawne tożsamości narodowe, to niby dlaczego nie można mieć np. trzech, czterech, pięciu itd., czyli wychodzi z tego obywatel świata, bez ojczyzny, czyli Żyd.

Właściwie nie mam nic przeciwko Żydowi który chce być Polakiem, pod jednym wszakże warunkiem: musi raz na zawsze wyrzec się jakiegokolwiek związku z żydowskością a wszystko co polskie uznać za swoje. W praktyce oznacza to że w kwestiach polsko-żydowskich zawsze będzie posługiwał się argumentami strony polskiej. Nawet nazwiska zmieniać na polskie nie musi. Takie kryterium może być do spełnienia wobec przedstawiciela każdego innego narodu co potwierdzają przypadki wybitnych Polaków wywodzących się z innych nacji. W przypadku Żydów i Romów to kryterium jest niepewne, jako że zawarte w ich genach uwarunkowania, uniemożliwiają pełną asymilację. Można przez pewien czas mistrzowsko udawać Polaka ale przychodzi taki moment że z tego „Polaka” wyłazi jak kobra z buta, Żyd albo Cygan.

Dlatego „repatriacja” Żydów z Izraela, uważających się za „marcowych Polaków” jest błędem i krzywdą wyrządzoną narodowi polskiemu przez ekipy rządzące. Bo od Polaków o dwóch (lub więcej) tożsamościach narodowych, takich co służą dwóm ojczyznom, chroń nas Panie.

Stanisław Fiut

Dominik Smyrgała [20 maja 2009 r.]

SPOD MONTE CASSINO DO GUŁAGU

===Do łagrów Workuty i na zsyłkę nie trafili zdrajcy - kolabo-ranci Hitlera. Zostali tam wysłani żołnierze spod Monte Cas-sino, Ankony i Bolonii, którzy mieli nieszczęście urodzić się na Kresach Wschodnich - pisze historyk *[Dominik Smyrgała]*

Los niektórych żołnierzy generała Władysława Andersa był wyjątkowo ponury. Po 1945 r. część zwycięzców spod Anko-ny i Monte Cassino dobrowolnie wróciła do Polski bądź zo-stała odesłana na mocy brytyjsko-sowieckiego porozumie-nia o repatriacji. Ci, którzy przed 17 września 1939 r. byli obywatelami ZSRR - choć w czasie wojny walczyli w pol-skich mundurach - zostali przejęci przez NKWD i wysłani do gułagu.

Jednym ze świadków tych wydarzeń był pochodzący z Ka-towic żołnierz i instruktor harcerski - Jan Foyer. Po wojen-nych perypetiach znalazł się pod koniec wojny w armii An-dersa. Stacjonował w północnych Włoszech, by w 1947 r. po rozformowaniu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie zna-leźć się w Wielkiej Brytanii. Sytuacja polskich emigrantów politycznych nie była łatwa. Wyspa dopiero się podnosiła ze zniszczeń wojennych, imperium się rozpadało, a przesta-wiająca się z torów wojennych gospodarka nie była w sta-nie wszystkim zapewnić zatrudnienia. Jednym słowem - nie witano byłych żołnierzy armii sojuszniczej z otwartymi ra-mionami.

Nic zatem dziwnego, że wielu Polaków myślało o powro-cie do ojczyzny, nawet mimo że strony rodzinne wielu z nich znalazły się w ZSRR. Jan Foyer był w nieco lepszej sytu-acji niż koledzy pochodzący z Kresów II Rzeczypospolitej. Jego mała ojczyzna znalazła się w granicach Polski, nikt z bliskiej rodziny nie zginął. A jednak mimo dojmującej tęs-knoty za krajem nie zdecydował się na powrót.

ŁAGIERNICY OD ANDERSA

Wśród emigracji osiadłej po II wojnie w Wielkiej Brytanii wiele mówiło się o żołnierzach z armii Andersa, którzy zde-cydowali się wrócić do kraju i nigdy do niego nie dotarli. Mó-wiono, że na pełnym morzu przekazywani byli z okrętów brytyjskich na sowieckie. Widząc, co ich czeka, skakali do morza i płynęli wpław z powrotem do jednostek angielskich. Wspominano tych, którzy przepadli bez wieści lub trafili do łagrów na dalekiej północy i wschodzie Związku Radzieckie-go, w tym szczególnie dużo do Workuty.

Toteż Jan Foyer i wielu byłych żołnierzy Andersa, którzy zostali na Zachodzie, aż do przełomu lat 80-tych i 90-tych obawiali się przyjeżdżać do ojczyzny nawet w charakterze turystów.

Workuta jest sporym miastem, położnym za kręgiem po-larnym, zbudowanym w latach 30-40-tych ubiegłego wieku przez mieszkańców archipelagu Gułag - na potrzeby prze-mysłu energetyczno-zbrojeniowego sowieckiego imperium. Panują tam skrajnie trudne warunki klimatyczne. Przez wię-

kszą część roku ziemia jest skuta mrozem dochodzącym w najzimniejszych miesiącach do 50 stopni C i często nawiedzana przez śnieżne nawałnice.

Nad krajobrazem dominują szyby kopalń, w których wydobywa się jeden z najlepszych gatunkowo rodzajów węgla na świecie. Przewinęli się przez nie przedstawiciele wielu narodów europejskich, w tym wielu Finów, Niemców, Białych oraz bardzo liczni Polacy. Większość z nich opuściła miasto po 1956 roku.

Obecnie, po upadku Związku Radzieckiego, miasto wciąż funkcjonuje, choć jego populacja stale spada. W latach 90-tych w Warkucie zaczęła działać pozarządowa organizacja Memoriał - zajmująca się upamiętnianiem ofiar totalitarnych represji i badaniami archiwów zawierających dane więźniów sowieckich łagrów. W jej skład wchodzi wielu przedstawicieli miejscowej elity.

Podczas badań prowadzonych pod koniec lat 90-tych uwagę pracowników Memoriału przyciągnęły powtarzające się biografie łagierników pochodzących z Kresów Wschodnich przedrozbiorowej Rzeczypospolitej - wspólnymi cechami ich życiorysów były służba w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, a potem zesłanie do Warkuty z tego samego paragrafu sowieckiego prawa. Jak wszyscy ci ludzie znaleźli się w drugiej połowie lat 40-tych na nieludzkiej ziemi? Dlaczego było ich tak wielu?

Od razu nasuwa się myśl, że nie było to dziełem przypadku. Wyglądało, jakby większość z nich trafiła w tym samym czasie pod władzę sowiecką, bo wyroki są mniej więcej z tego samego okresu. Może zatem trafili tam na mocy jakiegoś porozumienia? Zaczęły się kolejne skrupulatne poszukiwania.

W końcu badacze rosyjscy trafili na tajną umowę brytyjsko-sowiecką. Tak naprawdę to niczym nie różniła się ona od wcześniejszej umowy o repatriacji obywateli sowieckich z terenów wyzwolonych przez aliantów zachodnich, na mocy której przeprowadzono tzw. operację „Keelhaul” [dosł. „przeciąganie pod kilem”]. Na jej podstawie wydano setki tysięcy obywateli ZSRR, którzy wybrali kolaborację z Niemcami Hitlera z nadzieją na wyzwolenie „ojczyzny wszystkich narodów” od tyranii „nauczyciela całej postępowej ludzkości”.

Byli wśród nich żołnierze Własowa, ale także Kozacy dońscy, a nawet niektórzy biali Rosjanie, którzy nigdy nie byli obywatelami ZSRR. Widząc, co ich czeka, wielu skakało do rzek i podejmowało desperackie próby ucieczki. Na tych, którym się udało, jeszcze przez wiele miesięcy - dosłownie - polowano w górach i lasach.

W sowieckiej niewoli czekała ich śmierć bądź natychmiast po przejęciu (własowcy), bądź po miesiącach tortur i procesach pokazowych (gen. Paweł Krasnow) - bądź w siberijskich łagrach. Tę historię przejmująco opisał w swej książce „Kontra” - Józef Mackiewicz.

Jedynym ratunkiem dla tych ludzi było obywatelstwo inne niż sowieckie. Na tej zasadzie udało się uratować żołnierzom Ukraińskiej Armii Narodowej (wielu rekrutowało się z niesławnej 14-tej Dywizji SS). Ocalenie zawdzięczają generałowi Andersowi, który po rozmowie z dowódcą UAN gen. Pawłem Szandrukiem potwierdził polskie obywatelstwo jej żołnierzom.

PODSTĘPNA REPATRIACJA

Tego szczęścia zabrakło wielu Polakom. W grudniu 1946 roku GRU odkryło, że wśród rozlokowanych w Wielkiej Brytanii żołnierzy II korpusu gen. Andersa są osoby, które przed 17 września 1939 r. mieszkały na terytorium ZSRR i miały sowieckie obywatelstwo.

Zauważył to przy okazji operacji „Keelhaul” - płk Paweł Grigorijewicz Jakowlew, szef Sowieckiej Misji Wojskowej we Włoszech. Szacował on ich liczbę nawet na 6 tysięcy ludzi. Jeszcze w tym samym miesiącu do Szkocji, gdzie rozlokowany był II korpus, wysłano specjalnego agenta, który miał zbadać sytuację na miejscu. Sowiecki wywiad wojskowy postawił sobie za punkt honoru ich „repatriację”. Aby uniknąć rozgłosu, przeprowadzono misterną operację. Opierała się ona na podstępnych zwabieniu tych żołnierzy do rzekomo wyzwolonej Polski, a tam przejęciu ich przez Komisję Repatriacyjną (trudno chyba o bardziej perfidną nazwę) i zesłaniu do łagrów.

Akcja przeprowadzana była bardzo skrupulatnie. 1 marca 1947 r. generał Gołubiew, pełnomocnik Rady Komisarzy Ludowych ds. Repatriacji, wysłał poprzez tajną łączność GRU wiadomość do pułkownika Iwana Andriejewicza Kleszkanowa, członka Sowieckiej Komisji Repatriacyjnej w Wielkiej Brytanii. Pytał o przyczyny opóźnienia statku s/s „Edinburgh”, na którego pokładzie miało się znajdować 85 żołnierzy gen. Andersa - obywateli ZSRR - a który nie zawinął jeszcze do Gdańska. Wcześniej, w lutym 1947 r., płk Kleszkanow otrzymał szczegółową instrukcję postępowania z repatriowanymi.

Niestety, tylko niewielką jej część udało się rozszyfrować, tak więc jej pełna treść nie jest znana. 20 lutego Kleszkanow dostał depezę expressis verbis polecającą uwzględnienie polskich żołnierzy w działaniach repatriacyjnych. Wkrótce, wracający do kraju Polacy zaczęli ginąć bez wieści.

HISTORIA ZATOCZYŁA KOŁO

Ostatnim akordem tej historii był los grupy Andersowców - obywateli II RP, którzy przed wojną mieszkali za linią Cu-rzona, na obszarach wcielonych do ZSRR. Po powrocie do kraju trafili do 312 Obozu dla Wyzwolonych Jeńców Wojen-nych i Internowanych Obywateli w Grodnie. Wiosną 1951 r. zostali oni aresztowani wraz z całymi rodzinami (łącznie ok. 4,5 tys. osób) i deportowani do obwodu irkuckiego. Dopiero w okresie chruszczowowskiej odwilży zezwolono im na po-wroty do Polski.

Najsmutniejsze w tej opowieści jest to, że do łagrów Wor-kuty i na zsyłkę nie trafili przecież zdrajcy - kolaboranci Hit-lera. Zostali tam wysłani żołnierze spod Monte Cassino, An-kony i Bolonii.

Dla nich historia zatoczyła koło. Cudownie oswobodzeni z łagrów trafili do tworzonej w ZSRR armii polskiej i przeszli przez Tasz kent, Krasnowodsk, Morze Kaspijskie, Iran, Bliski Wschód i całą kampanię włoską. Nie pokonał ich głód, zarazy w Azji Środkowej, tropikalny upał i niemieckie kule we Wło-szech. I oto ci alianccy żołnierze zostali wydani na pastwę sowieckich obozów. Ci sami, o których słynny brytyjski mar-szałek Harold Alexander mówił, że gdyby kazano mu wybie-rać, chciałby ich właśnie mieć pod swoim dowództwem.

Nie wolno zapomnieć także o tych, którzy do armii An-dersa nigdy... nie dotarli. Wśród nich - o grupie żołnierzy z łagrów północnosyberyjskich, wyniszczonych przez polarny klimat, którzy w 1942 r. piechotą przez Syberię (po przewie-zieniu ich na stały ląd) zmierzali do polskich oddziałów. Z kilkuset osób na miejsce dotarła tylko jedna, a i tak wkrótce zmarła.

GRU interesowało się Polskimi Siłami Zbrojnymi na Zachodzie jeszcze kilka lat po wojnie, także od strony czysto woj-skowej. W ramach rozpracowania brytyjskiego systemu o-brony radziecki wywiad wojskowy zlecił w lutym 1947 r. swojemu agentowi w Londynie zdobycie m.in. polskiej broszury na temat przygotowań żołnierza do walki na podstawie do-świadczeń ze współczesnego pola walki oraz powieści Fre-da Majdalanyego „The Monastery”, poświęconej zdobyciu Monte Cassino.

Autor jest wykładowcą Collegium Civitas i ekspertem Instytutu Jagiellońskiego

John Vennari

TAJEMNICA POPULARNOŚCI JANA PAWŁA II

CZEŚĆ I

W 1974 r. abp Fulton J. Sheen powiedział: «Żyjemy w epoce emocji. Nie kierujemy się już wiarą, nie kie-rujemy się już rozumem. Kierujemy się emocjami».

Prawdziwości tych słów dowodzi bezprecedensowe emo-cjonalne wrzenie po śmierci Jana Pawła II. Jest czymś nor-malnym, że katolicy na całym świecie odczuwają smutek i modlą się za zmarłego papieża - jest to wyraz synowskich uczuć względem niego. Jednak histeria, jaka miała miejsce po śmierci Jana Pawła II, stanowczo wykraczała poza te ra-my. Kardynałowie, biskupi, kapłani i wierni świeccy jednym głosem domagali się kanonizowania go jako „Jana Pawła Wielkiego”. Niekatolicycy politycy i przywódcy państw wy-chwalali go za jego humanitaryzm i otwarcie na inne reli-gie. Był chwalony za sposób sprawowania władzy, za po-pularność wśród młodych, za podróże, poezję, dzieła. Był wychwalany za swój błyskotliwy styl, za to że był taki ludzki, za swoją „teologię ciała”, za zrozumienie roli mediów, za ewangelizację, za charyzmę, za poczucie humoru. Bono - gwiazda muzyki pop - nazywał go „fajnym papieżem” i „naj-lepszym przywódcą, jakiego Kościół kiedykolwiek miał”.

Jednak w tym zalewie emocji nie znalazłem nikogo wy-chwalającego zmarłego za to, co stanowiło przecież główny element jego posługi: niezachwianą wierność odwiecznemu nauczaniu i Tradycji Kościoła katolickiego. Nie słyszałem, by ktokolwiek wychwalał Jana Pawła II za zachowywanie czys-tości doktryny i utrzymywanie dyscypliny w Kościele na ca-łym świecie. Nigdy nie był za to chwalony, ponieważ tego nie robił. Dla papieża porażka na tym polu oznacza całko-witą porażkę.

To prawda, że Jan Paweł II zachował stanowisko Kościoła wobec święceń kapłańskich kobiet i celibatu duchowieństwa oraz wypowiadał się konsekwentnie przeciwko rozwodom, a-borcji i eutanazji. Był zniechęcony przez liberałów za pod-trzymywanie tego nauczania i trzeba mu to policzyć za za-sługę. Jednak wśród niekończących się pochlebstw wypo-wiadanych pod jego adresem nikt chyba nie pokusił się o ocenę jego pontyfikatu pod względem tego, co jedynie się liczy: nieomylny i

niezmiennej - wiarę katolicką. Opinie i wspomnienia o papieżu bazowały jedynie na emocjach i uczuciach.

Istnieje wiele powodów, dla których Jan Paweł II był tak kochany przez współczesny świat. Główną przyczyną był moim zdaniem centralny aspekt jego „nowej ewangelizacji” - nowe podejście, będące w istocie odejściem od głoszenia trudnej prawdy, której nauczanie czyniło przedsoborowych papieży tak niepopularnymi. Zaprzestawszy głosić tę fundamentalną prawdę mógł łatwo obcować z wyznawcami wszelkich religii, nie obawiając się specjalnie, że wywoła ich irytację czy niezadowolenie.

NOWE PODEJŚCIE

W dniu śmierci Jana Pawła II zadzwoniła do mnie pewna pani z Nowej Zelandii, przyjaciółka mojej rodziny. Pracuje o-ona w środowisku, w którym nieustannie styka się z muzułmanami i hinduistami. Gdy mówi tym niekatolikom, z całą delikatnością i miłością, że aby zbawić swe dusze, muszą się nawrócić do jedyne-go prawdziwego Kościoła katolickiego, muzułmanie i hinduiści śmieją się z niej. „Twój papież w to nie wierzy - śmieją się, mając na myśli Jana Pawła II. - Twój papież tak nie naucza. Jego inicjatywy międzyreligijne wcale o tym nie świadczą. Twój papież modli się z dalaj-lamą i hinduistami, odwiedza meczety i całuje Koran. Nie postępujesz zgodnie z tym, czego naucza twój własny papież. Dlaczego mielibyśmy cię słuchać?”

Również dwóch moich znajomych katolików zostało wysłnianych w rozmowie z protestanckim pastorem, gdy przekonywali go, że aby osiągnąć zbawienie, musi stać się katolikiem. „Co? - odpowiedział. - Nie czytacie pism własnego papieża? On modli się razem z protestantami. Chwali Marcina Lutera jako człowieka «głęboko religijnego». Nazywa protestantów «uczniami Chrystusa». Nigdy nie mówi, że w celu osiągnięcia zbawienia trzeba zostać katolikiem”.

„Brat” Roger z ekumenicznej wspólnoty Taizé, tak drogiej sercu Jana Pawła II, powiedział, że podczas papieskiej wizyty w Taizé 5 października 1986 r. papież zasugerował wspólnocie drogę „komunii”. Powiedział:

Poprzez wasze pragnienie, by stać się „pomostem”, po- możecie wszystkim, których spotkacie, pozostać wiernymi tradycjom ich denominacji, owocowi ich wychowania i wyborowi ich sumienia.

Jan Paweł II zachęcał więc protestantów, by pozostali wierni fałszywym naukom uroczyscie potępionym przez Sobór Trydencki. Nic nie wspominał o potrzebie nawrócenia do jedyne-go prawdziwego Kościoła Chrystusowego.

Dzień po śmierci Jana Pawła II Abraham Foxman z Ligi Przeciwko Zniesławieniu B'nai B'rith zwołał konferencję prasową, na której wychwalał zmarłego papieża za jego stosunek do narodu żydowskiego. Foxman mówił o Janie Pawle II:

Co najważniejsze, papież odrzucił destrukcyjną koncepcję substytucji i uznał szczególne więzi - między chrześcijaństwem a narodem żydowskim, traktując judaizm jako żywe dziedzictwo i uznając wieczną ważność przymierza Boga z narodem żydowskim.

Foxman chwalił więc Jana Pawła II za odrzucenie prawdy zawartej w Piśmie św. i zdefiniowanej uroczyscie przez Kościół - prawdy, że Nowe Przymierze zastąpiło i zdezaktualizowało Stare. Foxman cieszy się z głoszenia błędu, że wyznawcy współczesnej religii żydowskiej mają niezależne przymierze z Bogiem i że aby osiągnąć zbawienie, nie muszą uznać Jezusa Chrystusa za Mesjasza ani nawrócić się do Kościoła katolickiego. Chwali Jana Pawła II za obronę tego błędu.

Po raz kolejny widzimy, na czym polegał sekret popularności Jana Pawła II w stosunkach ze światem i fałszywymi religiami, dlaczego był kochany przez rzesze i dlaczego o-twierzały się przed nim niemal wszystkie drzwi. Jan Paweł II był człowiekiem, który mówił mieszkańcom świata, że wszystko nagle się zmieniło, że „tryumfalizm” Kościoła należy już do przeszłości, że nie muszą nawracać się do Kościoła, a-by zbawić swe dusze. Cechą charakterystyczną tego pontyfikatu było przemilczanie dogmatu „poza Kościołem nie ma zbawienia”.

Nie jest to bynajmniej oznaka wielkości, ale uległości wobec ducha czasu. Jest to ustępstwo, jakiego żaden papież w historii nie mógłby dokonać bez lekceważenia prawd wiary.

POZA KOŚCIOŁEM NIE MA ZBAWIENIA

Odchodzenie od nauczania, że poza Kościołem nie ma zbawienia, nie rozpoczęło się z pontyfikatem Jana Pawła II. Dogmat ten przez ostatnie stulecia był znienawidzony przez liberałów, a zwłaszcza przez ciemne siły masońskiego „o-świecenia”. Apostata Jan Jakub Rousseau pisał: „Ktokolwiek by twierdził, że poza Kościołem nie ma zbawienia, po-winien być wypędzony z granic państwa”. Dogmat ten był podkopywany słowem i drukiem przez liberalnych... katolików XIX wieku, czego dowodem są

powtarzające się potępienia obojętności religijnej ze strony XIX-wiecznych papieży. Modernizm odrzucał ten centralny dogmat naszej wiary, a teologowie neomodernistyczni w dekadach poprzedzających II Sobór Watykański usiłowali podważać tę prawdę na rozliczne sposoby.

Dwoma najbardziej wpływowymi progresistami, szczególnie aktywnymi w tej dziedzinie, byli ks. Henryk de Lubac i o. Iwon Congar. Obaj byli rzecznikami „nowej teologii”, wedle której religia musi zmieniać się wraz z czasem. Obaj byli uważani przez przedsoborowych papieży za teologicznych dysydentów. Pisma i działalność obu były potępiane przez Święte Oficjum, kierowane przez kard. Ottavianiego. A jednak obu, razem z innymi liberalnymi teologami, podczas *Vaticanum II* i w okresie posoborowym uznano za tych, którzy wytyczają nowe kierunki, mimo że nie zmienili swych heretyckich poglądów.

Młody biskup Karol Wojtyła z Polski solidaryzował się na soborze z tymi to właśnie postępowymi teologami. Ks. Ludwik Nemeš napisał w 1978 roku o Janie Pawle II: „*Biskup Wojtyła zajmował na soborze stanowisko progresywne*” i „*współpracował z postępowymi teologami*”. Lata później Jan Paweł II uczynił de Lubaca i Congara kardynałami, pomimo tego, że nigdy nie wyrzekli się swych heterodoksyjnych poglądów. De Lubac był żarliwym obrońcą panteistycznego ewolucjonisty Teilharda de Chardin. Tak więc Jan Paweł II nagroził purpurowymi kapeluszami dwóch modernistycznych teologów, których przedsoborowe - a również posoborowe - pisma negują zasadę: „poza Kościołem nie ma zbawienia”.

KONWERCENCJA ZASTĘPUJE KONWERSJĘ

Przełomowym wydarzeniem które doprowadziło do usunięcia tego dogmatu w cień, był II Sobór Watykański. To prawda, że nigdzie w dokumentach soborowych nie znajdziemy twierdzenia, iż „dogmat «poza Kościołem nie ma zbawienia» jest już nieaktualny”, jednak cały ekumeniczny duch *Vaticanum II* implikuje to na niezliczone sposoby, zwłaszcza poprzez rozmyślne używanie dwuznacznego języka w dokumentach soborowych. Po soborze katolicy hierarchowie poprzez swe słowa i działania utrwalali fałszywe przekonanie, że ten centralny dogmat wiary należy już do przeszłości.

Dokumenty *Vaticanum II* były, jak przyznają to sami ich autorzy, przygotowane zgodnie z nowym, ekumenicznym duchem.

W opublikowanej w 1966 r. książce *Theological Highlights of Vatican II* Józef Ratzinger napisał, że dokument soborowy „*Lumen gentium*” został rozmyślnie ułożony zgodnie z wytycznymi ekumenicznymi, by położyć fundament pod dekret o ekumenizmie. Ratzinger twierdził, że zgodnie z „*Lumen gentium*” Kościół katolicki nie ma prawa do wchłaniania innych Kościołów (...) zasadnicza jedność Kościołów, które pozostają Kościołami, a jednak stają się jednym Kościołem - musi zastąpić ideę konwersji, mimo że konwersja zachowuje swoje znaczenie dla tych, którzy pragną jej, postępując za głosem sumienia.

Ks. Ratzinger napisał tę książkę podczas obrad *Vaticanum II*. Jako współpracownik Karola Rahnera był mocno zaangażowany w sporządzanie szkiców dokumentów soborowych, ma więc odpowiednie kompetencje, by nam wyjaśnić, jakie były prawdziwe intencje architektów soboru. Otóż jak twierdzi, że prawdziwą intencją autorów dokumentów było przedstawienie konwersji jako opcji. Niekatolicy nie muszą się nawracać do prawdziwego Kościoła dla osiągnięcia jedności wiary i zbawienia. Zasadę konwersji niekatolików zastąpiła nowa zasada konwergencji z niekatolikami.

Od czasu soboru wszystko postępuje wedle tej reguły: zasadę konwersji niekatolików zastąpiła nowa zasada konwergencji.

Również inny liberalny *peritus* (‘ekspert’) soborowy - o. Edward Schillebeeckx - wyrażał radość z modernistycznej orientacji II Soboru Watykańskiego. Jak powiedział: „Podczas soboru Kościół katolicki oficjalnie odrzucił postawę monopolistyczną na religię chrześcijańską”.

Protestancki obserwator na soborze, dr Robert McAfee Brown, bardzo szybko docenił to nowe podejście. Dobrze znał tradycyjne - sprzeczne z protestantyzmem - katolickie nauczanie i otwarcie cieszył się z zaskakującej zmiany stanowiska podczas *Vaticanum II*. W swojej książce *The Ecumenical Revolution* (1967 r.) wychwalał soborowy dekret o ekumenizmie:

„*Dokument ten pokazuje, jak nowe jest obecne podejście. Nie ma w nim już mowy o „heretykach i schizmatykach”, ale raczej o „braciach odłączonych”. Nie ma w nim już władcze-go żądania, by dysydenci pokutując powrócili do Kościoła, który sam pokuty czynić nie potrzebuje; zamiast tego znajdujemy w nim uznanie, że to obie strony ponoszą winę za grzech podziału i muszą szukać*

przebaczenia u siebie na-wzajem. Protestantów nie nazywa się już „sektą” czy bytem jedynie psychologicznym, ale uznaje się, że w ich życiu mo-żna odnaleźć część ‘rzeczywistości eklezjalnej’”.

To rewolucyjne podejście do fałszywych religii słusznie po-tepiłby każdy papież przed *Vaticanum II*. Kościół katolicki zawsze traktował protestantów jako indywidualnych herety-ków i nigdy nie uznawał ich za spójną grupę wyznaniową, ponieważ ich „kościół” czy też „wspólnota eklezjalna” jest w rzeczywistości fikcją. Grupa protestantów jest jedynie zbiorowiskiem osób, które są wewnętrznie przekonane o swym zbawieniu w Chrystusie. Nie stanowią oni Kościoła.

We wrześniu 1868 r., na krótko przed I Soborem Watykańskim, papież Pius IX ogłosił publiczny list zatytułowany *Iam vos omnes*, skierowany „do wszystkich protestantów i innych niekatolików”. Nie zapraszał ich na sobór, ale zachęcał do potraktowania go jako okazji do nawrócenia do jedynego prawdziwego Kościoła. Pius IX celowo zaadresował swój list „do wszystkich protestantów”. Zwracał się do nich jako do jednostek.

Komentując ten tekst w 1959, wybitny amerykański teolog ks prał. Józef Clifford Fenton wskazywał że Pius IX wybrał te słowa umyślnie, ponieważ grupy protestanckie „nie są Kościołami chrześcijańskimi”, ale „zgrupowaniem heretyckimi”.

Wyjaśnia to, dlaczego dr McAfee Brown cieszył się z nowego stanowiska *Vaticanum II*, wedle którego owe zgromadzenia heretyków nagle zaczęły być określane mętym i nie-określonym terminem „rzeczywistości eklezjalne”. Twierdzenie, że protestanci nie muszą „pokutować by powrócić do Kościoła”, jest kpina z nieomylnego dogmatu Soboru Florenckiego, wedle którego poza Kościołem nie ma zbawienia (...).

CZŁOWIEK SOBORU

Posoborowe ekumeniczne błędy niepowstrzymanie szerzyły się podczas pontyfikatu Pawła VI, a jego nowa Msza stanowi ukoronowanie koncesji poczynionych wobec protestantyzmu. Nic nie wiadomo, żeby Jan Paweł I planował oczyszczenie Kościoła z ekumenicznej zarazy. Jeśli tak nawet było, to nie żył on dostatecznie długo, żeby tego dokończyć.

Gdy w październiku 1978 r. polski kardynał Karol Wojtyła został wybrany papieżem, każdy, kto miał oczy do patrzenia, wiedział, czego może oczekiwać. Od samego początku nowy papież demonstrował swoje zaangażowanie na rzecz reform *Vaticanum II*, a zwłaszcza ekumenizmu.

W pierwszym przemówieniu Jan Paweł II nie mówił o swoim obowiązku obrony czystości doktryny katolickiej przeciwko licznym współczesnym błędom jak to uczynił św. Pius X. 17 października 1978 r. nowo wybrany papież powiedział:

„Słusznie więc sądzimy, że Naszym pierwszym obowiązkiem jest jak najbardziej sumienne staranie o wykonywanie dekretów, norm i wskazań tego powszechnego soboru; będziemy to czynić w sposób równocześnie roztropny i pobudzający, starając się zwłaszcza, aby najpierw umocnił się właściwy sposób myślenia; trzeba bowiem, aby umysły ze-stroili się z soborem, zanim zaczną realizować w życiu to, co on ogłosił, i aby te sprawy, które w dziele soboru są - jak to się mówi - zawarte implicite, można było wydobyć i wyjaśnić w świetle tych doświadczeń, jakie już zostały dokonane, i postulatów, jakie w nowych okolicznościach zostały wysunięte”.

Nie ulega wątpliwości, że Jan Paweł II dotrzymał danego słowa. [...] Dostosował swój 25-letni pontyfikat do nowej, ekumenicznej doktryny, zgodnie z którą nawracanie niekatolików ustąpiło miejsca konwergencji z niekatolikami.

Działalność Jana Pawła II na płaszczyźnie dialogu międzyreligijnego, szeroko opisywana na łamach „Catholic Family News” i innych periodyków, jest tego przekonującym dowodem. Spotkanie w Asyżu, podczas którego wyznawcy wszelkich religii razem modlili się o pokój, rzekomo współdziałając na rzecz polepszenia losu całego rodzaju ludzkiego - podobne przedsięwzięcia potępił wcześniej św. Pius X w swym liście przeciwko Sillonowi - jest doskonałą ilustracją pontyfikatu papieża Polaka.

W październiku 1986 r., podczas pierwszego zorganizowanego przez papieża panreligijnego spotkania w Asyżu, katolicy, protestanci, prawosławni, żydzi, muzułmanie, czciciele węży, Indianie północnoamerykańscy i przedstawiciele innych religii zbrali się, by wspólnie modlić się o pokój... Przedstawiciele różnych religii stanęli obok Jana Pawła II, a ten widok przyczynił się w wielkim stopniu do utrwalenia głównego błędu naszych czasów, wedle którego zbawienie można osiągnąć dzięki praktykowaniu jakiegokolwiek religii.

Podczas tego spotkania przedstawiciele różnych wyznań zachęcano do sprawowania ich własnych, fałszywych kultów. Muzułmanie wyśpiewywali chwałę fałszywego bożka Allaha; afrykańscy animiści

w kolorowych szatach wzywali duchy drzew, by przyszyły wesprzeć starania o pokój; ame-rykańscy Indianie sprawowali pogański obrzęd, zawodząc tubalnymi głosami przeciwko złym duchom i machając sło-mianymi wachlarzami niczym magicznymi różdżkami. Na sprawowanie fałszywych kultów zezwolono również w kato-lickich świątyniach. W kościele pw. św. Piotra buddyści pod przewodnictwem dalajlamy umieścili na tabernakulum figurę Bud-dy, okadzali ją i obracali przed nią swoje młynki modlite-wne. Nawet kardynał Oddi wyraził wtedy publicznie swoją dezaprobatę:

Tego dnia (...) spacerowałem po Asyżu (...) i widziałem w niektórych miejscach modlitwy prawdziwe świętokradztwa. Widziałem buddystów tańczących wokół ołtarza, na którym na miejscu Chrystusa został umieszczony Budda, okadza-jących go i oddających mu cześć. Pewien benedyktyn protestował i został usunięty przez policję. (...) Na twarzach katolików, którzy uczestniczyli w tej ceremonii, malowała się dezorientacja. Ω

CDN

Tekst za „Catholic Family News”. Tłumaczył Tomasz Maszczyk.

Za: Zawsze wierni nr 8/2010 (135)

USA – CENZURKA PÓLROCZNA

To co piszę poniżej nie jest naukową analizą amerykańskiej gospodarki i systemu politycznego. Są to po prostu obserwacje i przemyślenia na podstawie własnych doświadczeń w trzech krajach: komunistycznego PRL-u, Szwedzkiej Socjaldemokracji i ponad 40 lat w ciągle zmieniających się Stanach Zjednoczonych.

Minęło już z górą pół roku jak napisałem artykuł pod tytu-łem: „Dokąd Zmierzasz Ameryko?”, w którym wymieniłem kilka podstawowych problemów z jakimi boryka się mój kraj - Stany Zjednoczone. W mej ówczesnej ocenie nie pomyli-łem się. W ciągu następnych sześciu miesięcy niewiele się polepszyło, a wiele pogorszyło. Mimo zapewnień, że kryzys już minął i że „odbiliśmy się od dna”, liczba bezrobotnych rośnie. Już wtedy, pół roku temu, określiłem bezrobocie ja-ko problem najważniejszy, a dzisiaj, jego ważność można tylko potwierdzić. New York Times podaje że w Ameryce na dzień dzisiejszy wśród całkowitej liczby ponad 14 milionów bezrobotnych aż 1,4 miliona stanowią tacy którzy są bez pracy przez okres ponad 9 miesięcy.

Liczba nowych bezrobotnych, którzy zgłaszają się tygod-niowo o zapomogę dla bezrobotnych wynosi ok. 500 tysięcy. Wielu ludzi kompletnie zrezygnowało z szukania pracy i wy-padli z rejestru bezrobotnych. W związku z tym skala bez-robocia jest dużo większa niż podają rejestry rządowe. Być może bezrobotni stanowią nie 9.5% a 20% wszystkich pra-cowników.

Wojny? Jakie wojny? - zapyta się większość Amerykanów. Od czasu jak skasowano obowiązek powszechnej służby wojskowej, olbrzymia większość Amerykanów losem tych, co giną [i zabijają], czyli żołnierzami, przestała się intereso-wać. Kwestia wojny w Afganistanie i Iraku uplasowała się w zainteresowaniach społecznych na 12 miejscu. Tylko niektó-rym przychodzi do głowy, że wojny kosztują, nie tylko życie ale i pieniądze. W miarę upływu czasu tego rodzaju wojny wykrwawiają gospodarczo Amerykę do tego stopnia, że nie będzie w stanie przeciwstawić się potędze zarówno gospo-darczej jak i militarnej Chin. Być może Chiny pożyczając pieniądze Ameryce, mają taki właśnie obrót sprawy na u-wadze?

KTO JEST TEMU WINNY?

Jak zwykle w trudnej sytuacji ludzie szukają odpowie-dzialnych za ich marną dolę. Nikt nie chce winić samego siebie. Społeczeństwo przyzwyczało się do dostatniego ży-cia, mimo że ten dostatek nie był w pełni uzasadniony. Je-śli będziemy szukali winnych dzisiejszej katastrofy to nie na-leży winić jedynie bankierów, którzy wraz z politykami, są związani wspólnymi interesami. Partnerem w tym przedsię-wzięciu kopania własnego grobu jest także amerykańskie społeczeństwo, otumanione frazesami propagandowymi o naszej mocarstwowości i „demokratycznej” wyższości. Za-nim rozwinę ten temat zrobię małą, amatorską dygresję e-konomiczną na temat - skąd się bierze wysoka stopa ży-ciowa i dlaczego w jednych krajach ludzie żyją lepiej a w drugich gorzej?

ŹRÓDŁO ZAMOŻNOŚCI SPOŁECZNEJ

W przeszłości wysoką stopę życiową, albo zamożność krajów wynikała z monopolu na wiedzę albo monopolu na źródła produktów naturalnych, takich jak np. ropa naftowa, złoto itp. Ostatnio jednak odkryto, że można utrzymać wy-soką stopę życiową przez monopol na pieniądz który w tran-sakcjach międzynarodowych będzie odpowiednikiem złota. Po drugiej wojnie światowej pieniądzem tym, a raczej sym-bolem wartości, stał się papierowy, albo ostatnio kompute-rowy dolar. Ponieważ dolar

stał się tak zwaną walutą rezerwową i zapotrzebowanie na niego wzrosło - Stany Zjednoczone zaczęły mieć możliwość zakupu produktów i usług z innych krajów za dolary mające pokrycie jedynie w iluzorycznej stabilności tej waluty. Dla podtrzymania tej iluzji potrzebna jest iluzja potęgi, a obraz potęgi militarnej świetnie pasuje do tej roli. W sumie, kiedy zdolności produkcyjne i konkurencyjność gospodarki amerykańskiej się kurczyła, zaufanie do dolara pozwoliło Ameryce zaciągać zagraniczne pożyczki i utrzymywać wysoką stopę życiową społeczeństwa za pożyczone pieniądze. Przez długi czas ta maszyna dla utrzymywania wysokiej stopy życiowej pracowała znakomicie, ku zadowoleniu rządu, Nomenklatury (bankierów) i mas. Nie trzeba być geniuszem, aby przewidzieć, że pożyczek nie da się zaciągać w nieskończoność i pewnego dnia wierzyciele zaczną kwestionować wypłacalność Ameryki. Tak się stało w czasie ostatniego „kryzysu”, którego początek dopiero widzimy a którego końca nie można przewidywać. Rząd amerykański, w panice, od roku 2008, powstrzymał na jakiś czas dramatyczną sytuację drukiem pieniędzy, nie próbując jednak zmienić podstawowych zasad funkcjonowania wadliwego systemu. Tym samym ludziom z oligarchii bankowej winnym kryzysowi, powierzono tłumienie pożaru kryzysu.

Powrót do stabilności stał się niemożliwy, gdyż system jest tak zagmatwany, że nikt, łącznie z jego twórcami, nie jest w stanie go zrozumieć. Wniosek się nasuwa, że kryzys się będzie pogłębiać a może nawet eksploduje wielkim zamętem w postaci olbrzymiego bezrobocia z wielkimi kosztami społecznymi dla wszystkich obywateli, łącznie z Nomenklaturą Bankowo-Polityczną.

PRZESUNIĘCIA PERSONALNE W PRZEMYŚLE I TEGO KONSEKWENCJE

Od lat 50-tych wieku dwudziestego wpływ na politykę rządu amerykańskiego zaczęli tracić przemysłowcy, a zaczęli mieć bankierzy i finansjści. W przemyśle wytwórczym, am-bitni inżynierowie, twórcy przemysłów tacy jak Thomas Alva Edison, Henry Ford czy Westinghouse zostali wyparci przez księgowych. Ci z kolei stwierdzili, że amerykański pracownik kosztuje za dużo i bardziej opłaca się produkować w krajach o niższych zarobkach pracowników. Początkowo, w latach 60-tych i 70-tych była to Europa Zachodnia, później Meksyk i Chiny. Gwoździem do trumny amerykańskiemu systemowi ekonomicznemu wbili „najemni” finansjści (ci „najbardziej utalentowani”), którzy przekonali rząd, że na świecie zapanował system post-przemysłowy i że produkowanie czegokolwiek w Ameryce nie ma sensu i należy do przeszłości. My będziemy się zajmować liczeniem pieniędzy, ubezpieczeniem innych na wypadek śmierci i wypadku, podróżować na Karaiby itp. Przekazano Chinom większość produkcji powszedniego użytku i miano się ograniczyć jedynie do opracowania nowych technologii. Zapomniano jednak, chyba z powodu megalomanii, że „inne kraje nie gęsi i swój język (chiński) mają”. Na skutek rozwoju komunikacji zmiany ekonomiczne w innych krajach nabrały przyspieszenia. W początku dwudziestego wieku potrzeba było minimum dziesięciu lat, aby wykształcić precyzyjnego mechanika. Dzisiaj z tą samą precyzją, a na pewno bardziej powtarzalną, produkcję wykonują roboty.

Kiedy przeniesiono produkcję do krajów o niższych kosztach robocizny, nie przewidziano społecznych konsekwencji tej transformacji, czyli bezrobocia. Kto na tym skorzystał? Czasowo skorzystała amerykańska oligarchia, czyli nomenklatura. Nomenklatura z powodu poczucia swej pseudo-intelektualnej wyższości, nie zauważa, że kopie sobie własny grób. Jak zwykle w historii, arystokraci omamieni poczuciem swojej wyższości, zapomnieli, że są kroplą w morzu społeczeństwa, które okresowo zmiatało ich z powierzchni ziemi (Francja, rok 1792, Rosja, rok 1917).

EKSTRAWAGANCJA NOMENKLATURY

O intelektualnej degeneracji amerykańskiej nomenklatury świadczy kopiowanie zwyczajów arystokracji europejskiej, starając jej dorównać rozrzutnością. Tak jak kiedyś europejska arystokracja, tak dzisiaj jej amerykański odpowiednik, żeni się między sobą. Kiedyś arystokratom chodziło o utrzymanie czystości błękitnej krwi, dzisiaj nomenklaturze amerykańskiej chodzi o utrzymanie wpływów i fortun. Przykładem tego zjawiska jest małżeństwo i niezwykle kosztowne wesele córki byłego Prezydenta Billa Clintona, Chelsea Clinton z młodym bankierem ze znanej firmy bankowej Golden Sachs, firmy winnej w dużej mierze dzisiejszemu kryzysowi. Młodożencem jest Marc Mezvinsky, pochodzący z „zasłużonej” rodzinny polityków i finansistów. Jego ojciec, Edward Mezvinsky, był kongresmanem, bankierem a także kryminalistą winnym defraudacji 10 milionów dolarów, ukradzionych ludziom którzy mu zawierzyli, że ma specjalne wpływy w rządzie Prezydenta Billa Clintona. Za swoje przekreśły finansowe spędził 5 lat w więzieniu i do 2011 r. pozostaje warunkowo na wolności. Rodzice pana młodego ogłosili także bankructwo, kiedy sąd nakazał im zwrot zdefraudowanych pieniędzy. Media podają, że koszt ślubu i wesela Chelsea Clinton, w mieszanym

obrządku protestancko-żydowskim, wynosił 5 milionów dolarów. Biorąc pod uwagę, że rodzina Clintonów reprezentuje Partię Demokratyczną, walczącą po-dobno o dobrobyt klas upośledzonych, tego rodzaju ekstra-wagancja, nie tylko świadczy o przekonaniu Clintonów o swej wyższości nad plebejuszami, ale także o ich braku wy-obrażni i małostkowości. Rozrzutne wesele młodej Clintonowej daje obraz upadku systemu wartości całej klasy rzą-dzącej Ameryką.

NOMENKLATURA I SYSTEM POST-KAPITALISTYCZNY

Określenie nomenklatura powstało w Związku Radzieckim. Skopiowano ten system, w podległych krajach „ludowej (a raczej sowieckiej) demokracji”. Była to zaufana grupa ludzi, którzy mogli zarządzać państwowymi przedsiębiorstwami, albo zajmować wyższe stanowiska administracyjne.

W Stanach Zjednoczonych, uzurpujących sobie prawo do wzoru systemu kapitalistycznego, powstała podobna do no-menklatury grupa, aczkolwiek nie jest to żadna lista, jest to raczej niepisana koteria „wtajemniczonych”. Ludzie ci znają się nawzajem. Na szczycie „wtajemniczonych” są dyrektorzy instytucji finansowych, ponieważ przemysłu wytwórczego, poza producentami uzbrojenia, praktycznie już nie ma. Po-dobnie jak w systemie sowieckim nie grozi im bezrobocie. Aczkolwiek do znużenia ludzie ci w wystąpieniach publicz-nych szastają słowem „kapitalizm” i „wolny rynek”, praktyka pokazuje że system przestał być kapitalistyczny, czyli taki jak go określili Adam Smith, jego entuzjasta a później Karl Marks, tego systemu wróg. Wedle Marksa w kapitalizmie, „kapitaliści” są właścicielami środków produkcji i przez sam fakt monopolu posiadania, wykorzystują proletariata. W ame-rykańskim „pseudo-kapitalizmie”, wyzyskiwaczami są często ludzie, którzy nie są właścicielami instytucji, którymi zarzą-dzają, szczególnie instytucji finansowych. Są nimi „mena-dżerowie”, którzy wchodzą w skład nomenklatury. Brak wła-sności jest niezwykle korzystny dla menadżerów, gdyż na-wet jeśli popełnią horrendalne błędy nie oni są tymi co tracą swój majątek. Majątek tracą właściciele. A kim są ci wła-siciele? Właścicielami są w dużej mierze drobni ciułacze, fundusze ubezpieczeniowe i emeryci.

Ponieważ własność spółek akcyjnych jest niezwykle roz-drobniona, właściciele-akcjonariusze nie mają nic do gada-nia. Listy kandydatów do rad nadzorczych składają się z kilku osób, o których przeciętnemu akcjonariuszowi nic nie jest wiadomo. Są to listy „kolesiów” i ich wybór jest, jak w ZSSR, w 99% zapewniony.

Ostatnio pod wpływem kryzysu, izby ustawodawcze prze-głosowały reformę systemu finansowego. Przepisy reformy zajęły ponad dwa tysiące stron. Nie podejrzewam, aby któ-ryś z senatorów zapoznał się z całością.

Ci wścibscy, którzy się potrudzili przeczytać tę ustawę, znaleźli, że ustawa przewiduje możliwość protestu akcjo-nariuszy, jeśli managerowie wypłacają sobie za wysokie pre-mie - a jednocześnie rada nadzorcza nie jest zobowiązana podporządkować się tym protestom. Ci, którzy pisali tą „re-formującą” ustawę mieli na uwadze, że ich czas na rządo-wych posadach jest ograniczony i kiedyś będą szukali pracy w bankowości.

Nie jest to dziwne, ponieważ amerykańska nomenklatura i rząd siedzą na tej samej karuzeli stanowisk. Prywatni finan-siści na jakiś czas zostają ministrami finansów, aby po speł-nieniu swego obywatelskiego obowiązku, wrócić na bardziej dochodowe stanowiska w prywatnym systemie finansowym.

SYSTEM DWUPARTYJNY

Spółczeństwo daje się nabierać, że w Ameryce mamy dwie konkurujące ze sobą partie.

Partia Demokratyczna kreuje się na socjalizującą, dbającą o interesy klasy pracującej a jej ideologia [rzekomo] opiera się na podwyższaniu podatków dla „bogaczy”.

Druga partia, Republikańska, uważa się za konserwatywną i ogłasza, że jej zadaniem jest obniżenie podatków. Połowa wszystkich podatników zarabia rocznie mniej niż 30 tys. do-larów i dlatego płaci zaledwie 2.8% wszystkich podatków. Dla nich obniżka podatków nie ma żadnego znaczenia. W sumie podniesienie podatków, zalecane przez Partię Demo-kratyczną nie może doprowadzić do zbalansowanego bud-żetu i wyjścia z kryzysu, gdyż zadłużenie państwa i wydatki rządowe są zbyt wielkie, aby amerykańscy podatnicy byli w stanie je pokryć.

Także Partia Republikańska, uważana za konserwatywną również nie ma programu na wyjście z kryzysu. Zarówno jedna partia jak i druga uciekają się do desperackiej, krót-kowzroczonej polityki pożyczania pieniędzy przez wypusz-czenie obligacji pożyczkowych, które głównie, jak na razie, kupują Chińczycy.

W sumie obydwie partie wyrzucają pieniądze podatników w błoto. Przykładem tego są dwie wojny, w Iraku i Afganista-nie, których uzasadnienie na podstawie frazeologii „budowy demokracji i walki z terrorem” już stało się wyswiechtanym frazesem, w który mało kto wierzy.

Moje amatorskie, nieproszone rady dla rządu amerykańskiego, w celu poprawy sytuacji ekonomicznej są proste, niestety niemożliwe do wprowadzenia w systemie zrodzo-nym i osaczonym przez amerykańską nomenklaturę.

Ograniczają się do dwu diametralnie różnych pokojowych możliwości z hipotetyczną, apokaliptyczną jako trzecią. Mam na myśli Trzecią Wojnę Światową w celu przetasowaniu u-kładu globalnych sił. W tej jednak dziedzinie, z powodu bra-ku wojskowego, strategicznego, wykształcenia, nie będę tu-taj ani radzić, ani się wypowiadać.

1. Utrzymanie otwartych granic dla handlu międzynarodo-wego i koncentracja na produkcji dóbr wysokiej jakości za przystępną, konkurencyjną cenę. Wymagać to będzie wyso-kich nakładów na badania naukowe i nie gwarantuje natych-miastowych rezultatów.

2. Zamknięcie granic dla produktów produkowanych za granicą za pomocą wysokich ceł, co z kolei spowoduje gwał-towne obniżenie stopy życiowej na skutek braku dostępu do tanich produktów z Azji i Meksyku. Wysokie cła na import pozwolą na odbudowę przemysłu wytwórczego. Ten manewr zabierze też wiele czasu zanim odbudowa przemysłu stanie się faktem, gdyż ludzie o koniecznych kwalifikacjach albo już wymarli albo do nauk inżynierskich się nie garną.

Każda z dwu proponowanych, pokojowych zmian syste-mowych będzie prowadzić w okresie przejściowym do groź-nego wzrostu bezrobocia. Niemniej, jeśli nie wprowadzimy koniecznych, radykalnych zmian, możemy się spodziewać w niedługim czasie fermentu społecznego z katastrofalny-mi dla wszystkich, konsekwencjami.

Ciekawe, że Niemcy, którzy nie dali się w pełni nabrać na miraż gospodarki post-przemysłowej i wedle ostatnich rapor-tów dają sobie radę lepiej niż US, mając ciągle dodatni bi-lans w handlu zagranicznym. Czyli, że pokojowe rozwiąza-nie jest ciągle możliwe.

Jan Czekajewski – 1 sierpnia 2010, Columbus, Ohio, USA

„WIELKA HUCPA” - CZĘŚĆ I

W trakcie pracy nad tą książką [„Wielka hucpa”] uświadomi-łem sobie, że oto obchodzę swoistą rocznicę. Dwadzieścia lat temu, zbierając materiały do rozprawy doktorskiej o teorii syjonizmu, zetknąłem się ze świeżo wówczas wydaną książ-ką na temat konfliktu izraelsko-palestyńskiego, pt. *Od niepa-miętnych czasów: źródła arabsko-żydowskiego konfliktu o Palestynę [w oryginalu: From Time Immemorial: The Origins of the Arab-Jewish Conflict over Palestine]*. Pióra Joan Pe-ters. Tylną okładkę książki, mającej zrewolucjonizować na-sze rozumienie tego konfliktu, zdobiły strzeliste pochwały ze strony czołowych postaci amerykańskiej humanistyki (Saula Bellowa, Eliego Wiesela, Barbary Tuchman, Lucy Dawido-wicz i innych). Książka szybko zaczęła zbierać dziesiątki re-cenzji w największych amerykańskich mediach, recenzji roz-ciągających się od ekstazy po nabożną wręcz cześć. Jej pierwsze wydanie, które ostatecznie zamieniło się w siedem „twardookładkowych” dodruków, w całym kraju, osiągnęło status bestsellera. Główna teza książki Peters, na pozór podparta blisko dwoma tysiącami przypisów i dość zawiłą analizą demograficzną, była taka: że „w przededniu syjonis-tycznej kolonizacji Palestyna była praktycznie niezamiesz-kana, zaś po tym, jak Żydzi doprowadzili zasiedlone przez siebie pustostany do rozkwitu, Arabowie z sąsiednich kra-jów i innych części Palestyny zaczęli przenosić się na te-reny żydowskie, udając autochtonów. Tym sposobem otrzy-maliśmy niejako „naukowy” dowód na to, że Golda Meir mia-ła jednak rację, twierdząc, że Palestyńczycy nie istnieją”.

WYŁĄCZ TELEWIZOR A WŁĄCZ MYŚLENIE!
 Palestinian loss of land, 1946 - 1999



W gruncie rzeczy *Od niepamiętnych czasów* było mon-strualną bujdą. Cytowane źródła zostały zniekształcone, klu-czowe dane w analizie demograficznej sfalszowane, zaś ob-szerne fragmenty stanowiły zwyczajny plagiat syjonistycz-nych tekstów propagandowych. Udokumentowanie tego o-szustwa i, co było nieco trudniejsze, upublicznienie krytycz-nej analizy w mediach, okazało się być dla mnie punktem zwrotnym. Od tego czasu znaczna część mojego życia, w ten czy inny sposób, dotyka konfliktu izraelsko-palestyńskie-go.

Patrząc wstecz, po dwóch dekadach badań i przemyśleń, uderza mnie - jak nieskomplikowany jest konflikt izraelsko-palestyński. Nie ma już między naukowcami poważniejszego sporu co do danych historycznych, przynajmniej tych od-noszących się do okresu od pierwszych osiedli syjonistycz-nych z końca XIX wieku do utworzenia Izraela w 1948 roku. Taka zgoda nie zawsze była jednak regułą. Przez długi czas współistniały dwie jaskrawo rozbieżne wizje konfliktu izra-elsko-palestyńskiego. Z jednej strony mieliśmy główny nurt, czyli to, co można by dość akuratnie nazwać wersją prze-szłości a la Exodus - heroiczną, oficjalną syjonistyczną opo-wieść uwiecznioną w bestsellerowym utworze historycznym Leona Urisa. Z drugiej strony istniała, wyrzucona poza na-wias godnych szacunku opinii, skromna dysydencka litera-tura podważająca utarte mądrości. Aby dać jeden znamien-ny przykład, wedle powszechnie lansowanej izraelskiej wer-sji zdarzeń Palestyńczycy zostali w 1948 r. uchodźcami, po-nieważ to arabskie rozgłosnie radiowe „nakłaniały” ich do u-cieczki. Jednak już na początku lat 60-tych dwaj naukowcy - Palestyńczyk Walid Khalidi i Irlandczyk Erskine Childers - po zbadaniu archiwów arabskich rozgłosnie radiowych z okresu wojny 1948 r. stwierdzili, że żadne takie oficjalne wezwania ze strony Arabów nie miały miejsca. Takie rewelacje miały jednak nikłe bądź wręcz zerowe szanse w konfrontacji z po-wszechnie lansowanymi opiniami. Tym niemniej, począw-szy od późnych lat 1980-tych, ciągły strumień opracowań naukowych, przede wszystkim autorstwa Izraelczyków, roz-prawił się w znacznej mierze z syjonistyczną mitologią za-ciemniająca źródła konfliktu. Wszyscy poważni naukowcy uznali już zatem, że „arabskie audycje radiowe” były syjo-nistyczną fabrykacją, oraz że na Palestyńczykach dokona-no w 1948 r. czystki etnicznej; akademicka debata skupiła się teraz na nieco węższej, choć równie ważnej kwestii, czy owa czystka była zamierzoną konsekwencją polityki syjoni-stycznej czy też niezamierzonym ubocznym skutkiem

wojny. Ostatecznie w przypadku tych i innych pokrewnych problemów to interpretacja dysydencka, okazując się być bliższą prawdzie, zastąpiła oficjalną interpretację syjonistyczną i po gorących polemikach w świecie akademickim wykrystalizował się szeroki consensus co do danych historycznych.

Podobny proces zastępowania i upraszczania dotychczasowych interpretacji wystąpił - mniej więcej w tym samym czasie - w kwestiach związanych z prawami człowieka. Aż do późnych lat 1980-tych walczyły ze sobą dwie zasadniczo sprzeczne opinie na temat przestrzegania przez Izrael praw człowieka na Terytoriach Okupowanych. Wedle oficjalnego stanowiska izraelskiego, oczywiście nagłaśnianego przez największe media, Palestyńczycy na Zachodnim Brzegu i w Gazie korzystali z najbardziej „liberalnej” i „łagodnej” okupacji. Jednakowoż garstka dysydentów, głównie izraelskich i palestyńskich działaczy ruchu obrony praw człowieka takich jak Izrael Szahak, Felicia Langer, Lea Tsemel, czy Raja Sze-hadeh, oskarżała Izrael np. o systematyczne maltretowanie i torturowanie palestyńskich aresztantów. W owym czasie istniała niewielka liczba niezależnych organizacji obrony praw człowieka i wszystkie one albo wybielały Izraelczyków, albo też zachowywały ostrożne milczenie na temat jawnego gwałcenia przez Izrael praw człowieka. Zakrawa na skandal, że informacje o torturowaniu przez Izrael palestyńskich aresztantów po raz pierwszy zostały ujawnione opinii publicznej (która jednak je wówczas zlekceważyła) **nie przez organizacje obrońców praw człowieka**, takie jak Amnesty International, lecz za sprawą śledztwa dziennikarskiego opublikowanego przez londyński Sunday Times. Pod koniec lat 1980-tych, jak już wspomniałem, sprawy zaczęły przybierać nowy obrót. Brutalnego zdławienia pierwszej, w zasadzie pokojowej, intifady, która rozpoczęła się pod koniec 1987 r., nie dało się już ani ukryć, ani zignorować - jak grzyby po deszczu pojawiały się nowe organizacje praw człowieka, zarówno lokalne izraelskie i palestyńskie, jak i międzynarodowe, zaś te starsze coraz bardziej uodparniały się na zewnętrzne naciski.

Przygotowując rozdział tej książki poświęcony przestrzeganiu przez Izrael praw człowieka na Terytoriach Okupowanych, przeczytałem dosłownie tysiące stron raportów na ten temat, publikowanych przez liczne, wojowniczo niezależne i wysoce profesjonalne organizacje, takie jak Amnesty International, Human Rights Watch, B'Tselem (Izraelskie Centrum Informacji nt. Przestrzegania Praw Człowieka na Terytoriach Okupowanych), Społeczny Komitet przeciw Torturom w Izraelu, Lekarze na rzecz Praw Człowieka (Izrael), z których każda dysponuje własnym zespołem obserwatorów i badaczy. Z wyjątkiem jednej drobnej kwestii nie natrafiłem na żaden fakt, co do którego organizacje te różniłyby się zdaniem. Jeśli idzie o przestrzeganie przez Izrael praw człowieka można dziś mówić nie tyle o szerokim consensusie - jak ma to miejsce w przypadku kwestii historycznych - ale o bezwarunkowej jednomyślności. Wszystkie wymienione organizacje zgadzają się na przykład co do tego, że palestyńscy aresztanci byli systematycznie maltretowani i torturowani, a całkowita liczba takich przypadków prawdopodobnie sięga dziś już dziesiątków tysięcy.

Skoro jednak, jak twierdzą, panuje powszechna zgoda co do stanu faktycznego, mamy do czynienia z doprawdy dziwnym zjawiskiem: skąd bowiem biorą się te namiętne kontrowersje wokół oceny konfliktu palestyńsko-izraelskiego? Moim zdaniem, wyjaśnienie tego pozornego paradoksu wymaga przede wszystkim zasadniczego rozróżnienia pomiędzy kontrowersjami rzeczywistymi a tymi sztucznie wprowadzonymi do obiegu publicznego. Aby zilustrować rzeczywistą różnicę zdań, rozważmy ponownie kwestię palestyńskich uchodźców. Jest całkiem możliwe że zainteresowane strony zgodzą się co do faktów, jednak dojdą do diametralnie przeciwstawnych wniosków natury moralnej, prawnej i politycznej. Tak więc, jak już wspomniałem, w środowisku akademickim panuje powszechna zgoda co do tego, że Palestyńczycy zostali w 1948 roku poddani czystce etnicznej. Czołowy izraelski historyk zajmujący się tym tematem, Benny Morris, który zrobił więcej niż ktokolwiek inny dla ustalenia, co się rzeczywiście stało, jest zdania, że z moralnego punktu widzenia było to dobre rozwiązanie - podobnie jak w jego opinii „unicestwienie” amerykańskich Indian było dobrym rozwiązaniem. Uważa on, że Palestyńczycy nie mają prawa powrócić do swych domów i że pod względem politycznym wielkim błędem Izraela w 1948 roku było to, że nie „przeprowadzono masowych wysiedleń i nie oczyszczono całego kraju - całej Krainy Izraela aż po Jordan” z Palestyńczyków. Jakkolwiek odrażające moralnie, wnioski te z pewnością nie mogą być określone mianem fałszywych. Wracając do uniwersytetu, na którym pracują przecież normalni ludzie, może się zdarzyć, że różne osoby zgodzą się, zarówno co do faktów, jak i do implikacji moralnych i prawnych, lecz mimo to różnić się będą wnioskami natury politycznej. Noam Chomsky zgadza się, że Palestyńczycy zostali faktycznie wygnani, że było to działanie o charakterze przestępczym, oraz że

Palestyńczycy mają prawo do powrotu. Jednak u-waża on, że wprowadzenie tego prawa w życie jest politycz-nie niemożliwe, zaś domaganie się tego bezcelowe - w grun-cie rzeczy jego zdaniem roztaczanie takiej złudnej nadziei przed palestyńskimi uchodźcami jest głęboko niemoralne. Inni z kolei, wręcz przeciwnie, utrzymują, iż moralne i legal-ne prawo nie ma żadnego sensu, jeśli nie można z niego skorzystać, i że w praktyce istnieje możliwość zrealizowa-nia prawa do powrotu. Nie jest tu naszym celem rozstrzy-ganie, kto ma rację, a kto się myli - chciałem jedynie poka-zać, że nawet wśród uczciwych i przyzwoitych ludzi może występować rzeczywista i uprawniona różnica w ocenach politycznych. Można by tu wiele podobnych wypowiedzi na ten temat przytaczać, ale są to wypowiedzi działaczy i orga-nizacji żydowskich, więc nie są do końca obiektywne.

To powiedziawszy, należy wszelako podkreślić, iż - przy-najmniej w gronie osób dzielających zwykle wartości mo-ralne - zakres politycznej niezgody jest dość wąski, pod-czas gdy zakres zgody dość szeroki. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza społeczność międzynarodowa w większości zgadzała się co do tego, że konflikt izraelsko-palestyński rozwiązać należy poprzez ustanowienie dwóch państw, co zakładałoby całkowite wycofanie się Izraela z Zachodniego Brzegu i Gazy oraz pełne uznanie państwa Izrael w jego granicach sprzed czerwca 1967 r. Pomijając Stany Zjedno-czone, Izrael i zazwyczaj ten czy inny atol na Południowym Pacyfiku, Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych, demonstrując rzadko spotykaną i konsekwentną jednomyśl-ność, corocznie ponawia postulat takiego właś-nie rozwią-zania. Rezolucja Narodów Zjednoczonych z 1989 r. zatytu-łowana „Kwestia palestyńska”, wzywająca do zawarcia po-rozumienia w sprawie utworzenia dwóch państw i „wycofa-nia się Izraela z terytoriów palestyńskich okupowanych od 1967 r.” została przegłosowana stosunkiem głosów 151 do 3 - oprócz Stanów Zjednoczonych i Izraela sprzeciw zgłosiło je-dynie wyspiarskie państwo Dominika. Piętnaście lat później, pomimo potężnych przemian geopolitycznych - w tym cza-sie zniknął cały blok sowiecki i narodziło się wiele nowych państw - consensus wciąż trwał. Rezolucja Zgromadzenia Ogólnego z 2004 r., „Pokojowe rozwiązanie kwestii palestyń-skiej”, podkreślająca „konieczność realizacji wizji dwupań-stwowej” oraz „wycofanie się Izraela z terytorium palestyń-skiego okupowanego od 1967 r.” przeszła stosunkiem gło-sów 160 do 6 - oprócz Stanów Zjednoczonych i Izraela sprze-ciw tym razem zgłosiły Mikronezja, Wyspy Marshalla, Palau i Uganda. Gdyby debata skupiła się wyłącznie na obszarach rzeczywistej niezgody, konflikt prawdopodobnie mógłby zo-stać sprawnie rozwiązany - tyle, że nie po myśli izraelskich i amerykańskich elit.

Większość kontrowersji wokół konfliktu izraelsko-pale-styńskiego jest w moim przekonaniu sztucznie podsycana. Wzbudzanie tych kontrowersji ma oczywiście cel polityczny: odwrócenie uwagi od udokumentowanych faktów, bądź też ich zniekształcenie. Zasadniczo można mówić o trzech źró-dłach sztucznego sporu: 1) zafalszowaniu przyczyn konfliktu; 2) ciągłym przywoływaniu antysemityzmu i Holokaustu; oraz 3) pojawieniu się mnóstwa bałamutnych publikacji na ten te-mat. W niniejszym wprowadzeniu krótko i po kolei omówię wszystkie te źródła. Zasadnicza część pracy skupia się jed-nak na punkcie drugim i trzecim.

Często słyszy się, że konflikt izraelsko-palestyński jest tak wyjątkowo subtelny i skomplikowany, że nie można go ani analizować, ani tym bardziej rozwiązać w żaden konwen-cjonalny sposób. Określa się go na przemian jako starcie re-ligii, kultur, cywilizacji. Nawet z reguły trzeźwi obserwa-to-rzy, jak izraelski pisarz Meron Benvenisti, zwykli twierdzić, iż jest to w istocie „pierwotna, nieprzejednana, endemiczna woj-na pasterska”. Tego rodzaju sformułowania w gruncie rze-czy bardziej zaciemniają sprawę niż cokolwiek wyjaśniają. Bez wątpienia konflikt ten rodzi szereg trudnych problemów, zarówno teoretycznych, jak i praktycznych, jednak to samo można powiedzieć o praktycznie wszystkich konfliktach. Zre-sztą świetnie nadaje się on też do analizy porównawczej, pamiętając oczywiście o ograniczonej prawomocności jakich-kolwiek analogii historycznych. Apologeci Izraela unikają ta-kich porównań i wciąż perorują o wyjątkowości konfliktu izra-elsko-palestyńskiego z oczywistego względu: w jakimkolwiek z porównywalnych przypadków - euro-amerykańskiego pod-boju Ameryki Północnej, czy reżimu apartheidu w RPA - to Izrael stałby w tej analogii po „złej stronie”.

Poważna analiza konfliktu izraelsko-palestyńskiego rzadko ucieka się do rozbudowanych wyjaśnień, choćby z tego jed-nego powodu, że jego źródła są tak banalne. W 1937 roku brytyjskiej komisji królewskiej pod przewodnictwem lorda Pe-ela powierzono zadanie ustalenia przyczyn konfliktu pale-styńskiego i możliwych sposobów jego rozwiązania. W od-niesieniu do palestyńskich Arabów raport stwierdzał, co na-stępuje: „przemocnym pragnieniem arabskich przywódców (...) była (...) niepodległość” oraz: „należało się spodziewać, że palestyńscy Arabowie (...) pozazdroszczą swym nacio-nalistycznym pobratymcom, którzy odnieśli sukces w kra-jach za ich północną i południową

granicą i będą starali się im dorównać”. Arabskie resentymenty antyżydowskie Brytyjczycy przypisywali temu, iż realizacja żydowskich roszczeń w stosunku do Palestyny uniemożliwiłaby Arabom u-tworzenie własnego niepodległego państwa oraz obawom Arabów o to, że w żydowskim państwie staliby się obywatelami drugiej kategorii. W konkluzji napisano, iż „bez wątpienia” „przyczyny leżące u podłoża” wrogości arabsko-żydowskiej to „po pierwsze, arabskie pragnienie niepodległości; po drugie, niechęć Arabów do ustanowienia w Palestynie Domu Narodu Żydowskiego [*Jewish National Home - określenie używane przez przedstawicieli ruchu syjonistycznego, który przybrał formę instytucjonalną pod przywództwem Theodora Herzla (zwołanie I Kongresu Syjonistycznego w 1897 r.); pojawiło się ono również w tzw. Deklaracji Balfoura z 1917 r., ogłaszającej brytyjskie poparcie dla u-tworzenia państwa żydowskiego na terytorium Palestyny - przyp. tłum.] wzmagana obawami przed żydowską dominacją”. Unikając afektywnych sformułowań w stylu „pierwotnej, nieprzejednanej, endemicznej wojny pasterskiej” Benvenis-tiego, a zamiast tego jawnie wskazując na źródła niepoko-jów w Palestynie, komisja pisała:*

Konflikt ten nie jest też w swej istocie konfliktem na tle rasowym, wpływającym z dawnej instynktownej wrogości Arabów do Żydów. Tarcia między Arabami a Żydami na in-nych terenach arabskiego świata zdarzały się rzadko, bądź wręcz w ogóle ich nie było, dopóki nie wywołał ich spór pa-lestyński. Z kolei dokładnie takie same problemy polityczne - wzburzenie, rebelia i rozlew krwi - występują w Iraku, Syrii i Egipcie, gdzie przecież nie ma żadnych „Domów Narodowych”. Jest tedy dość oczywiste, iż problem palestyński jest ze swej natury polityczny. Podobnie jak gdzie indziej, jest to problem wojowniczego nacjonalizmu. Jedyna różnica po-lega na tym, że w Palestynie arabski nacjonalizm jest nierozdzielnie związany z wrogością względem Żydów. Powody takiego stanu rzeczy, co trzeba podkreślić, są równie oczy-wiste. Po pierwsze, ustanowienie Domu Narodowego [dla Żydów] od samego początku wiązało się z całkowitą nega-cją praw wynikających z zasady samostanowienia narodów. Po drugie, wkrótce okazało się, że nie jest to zwykła prze-szkoda na drodze do narodowego samostanowienia, jakich wiele, ale najwyraźniej jest to jedyna poważna przeszkoda. Po trzecie, wraz z pojawieniem się Domu pojawił się też strach, że gdy zostanie ustanowiony samorząd - jeśli w o-góle to się stanie - może on nie być narodowy w sensie a-rabskim, ale raczej może oznaczać rządy większości żydow-skiej. Oto dlaczego trudno jest być arabskim patriotą, nie czując równocześnie nienawiści do Żydów.

CDN

Za: Wolna Palestyna [Norman Finkelstein: „Wielka hucpa” - Wprowadzenie]
